Klasyka literatury

JAKOB WASSERMANN

Ewa
Człowiek złudzeń

POWIEŚĆ

Jakob Wassermann

Ewa.
Człowiek złudzeń.

Wersja demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Jakob Wassermann
„Ewa. Człowiek złudzeń”

Copyright © by Jakob Wessermann, 1920
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)
Tekst oryginalny tłumaczenia: anonimowy.

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Łukasz Chmielewski
Projekt okładki: Kamil Skitek
Druk: Drukarnia Ludowa w Krakowie
Wydawnictwo: Instytut Wydawniczy „Renaissance“
Warszawa — Poznań — Kraków — Lwów — Stanisławów, 1920

ISBN: 978-83-8119-083-1

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Zanim pęknie srebrna nić.

1.

Panna von Einsiedel traktowała całkiem serjo miłosne gruchanie z Crammonem. Gdy to spostrzegł, ochłódł zaraz, bacząc by uniknąć zagrażającej, niemiłej sytuacji.

Posyłała mu przez pokojówkę natarczywe liściki, na które nie odpowiadał wcale. Poprosiła o schadzkę. Przyrzekł i nie zjawił się. Gdy czyniła wyrzuty, pytając o powód, spuścił oczy i odparł smętnie:

— Omyliłem się co do godziny, droga pani. W czasach ostatnich czuję jakieś jakby zaćmienie ducha. Budząc się rano, często mam wrażenie, że jest to wieczór. Siadam do stołu i zapominam o jedzeniu. Muszę się poddać kuracji i zasięgnąć porady lekarza. Bądź pani dla mnie pobłażliwą, Elizo.

Ale Eliza nie chciała tego zrozumieć. Crammon zaliczał ją z żalem i przyganą do kobiet, które z jednego pocałunku i jednej nocy, wysnuwają konsekwencje niejednokrotnie bardzo uciążliwe dla mężczyzny.

Crammon mówił sobie:

— Bądź twardy Bernardzie, Gerwazy. Nie daj się opanować przyrodzonej swej delikatności i zostać niedołęgą. Zastawiono na ciebie łapkę, słoninę czuć o milę. Taka ładna dziewczyna, a taka zaślepiona! Żaliż nie lepsza krótka przyjemność nad długą niedolę.

I na wszelki wypadek spakował kufry.

2.

Crammon dowiedział się gdzie był Krystjan w czasie dziewiczego wieczoru Judyty, oraz kto mu towarzyszył. Szofer wygadał się, a powodowany braterską troskliwością, Crammon zarządził dochodzenie, które potwierdziło niepewne pogłoski dochodzące do Wahnschaffeburga.

Pewnego dnia gdy byli razem w Christiansruh wszedł Crammon do gabinetu Krystjana i rzekł:

— Nie mogę milczeć dłużej. Dręczy mnie troska. Wstydź się Krystjanie swej skrytości. Bratasz się ze zbiegami, buntownikami, bombiarzami i przewracasz w głowach biednemu, niewinnemu ludowi szaleńczą hojnością swoją.

Krystjan uśmiechnął się w milczeniu.

— Jakże możesz siebie tak narażać! — wykrzyknął Crammon — rodzinę swą i przyjaciół! Słówko w zaufaniu, drogi mój. Mylisz się grubo sądząc, że wyzwoliłeś z niedoli tę kobietę, do której cię zawlókł rosyjski desperado. To złudzenie mogę, na szczęście rozwiać.

— Czy wiesz co o niej? — spytał Krystjan przedziwnie obojętnym tonem i z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Crammon nadął się i jął opowiadać soczyście i szczegółowo:

— Tak jest. Wdałem się nawet w pertraktacje z świetną policją, szczędząc ci nieprzyjemności. Chciano tę kobietę aresztować i pieniądze wziąć w depozyt. Temu zdołałem na szczęście zapobiec. Chociaż bowiem mam przekonanie, że w państwie winien panować ład i porządek, to nie uważam za pożądane, by władze wtykały nos w nasze sprawy prywatne.

Ma obowiązek czuwać nad naszą pomyślnością ziemską, więcej niczego nie żądamy. Dość tego jednak. Nic wesołego nie mogę ci donieść o twej protegowanej. Hołota oszalała wobec tego deszczu złota. Otoczono ją, żebrano, ten i ów skradł coś, powstała bójka, jeden wbił drugiemu nóż w brzuch, a rozwścieklona baba broniła się kociubą od pieca. W końcu wkroczyła policja. Potem kobieta owa najęła mieszkanie w innej dzielnicy, nakupiwszy różnych gratów, mebli, pościeli, odzieży, naczyń kuchennych, a nawet zegar z kukułką. Taki zegar, musisz wiedzieć, to coś okropnego. Co chwila wychodzi zeń kukułka i drze się. Bawiłem raz w gościnie u znajomych, którzy mieli trzy takie zegary. Ile razy zamknąłem oczy, potwór zaczynał wrzeszczeć. Można było oszaleć, chociaż pozatem ludzie ci byli nader mili. Ta baba Krolla zatraciła od czasu twego podarku ostatnie resztki rozsądku. Pieniądze nosi przy sobie w szkatułce, dniem i nocą nie spuszcza z nich oka. Gra na loterji i kupuje dziesięciofenigowe romansidła. Dzieci marnieją całkiem tak jak przedtem, gospodarstwo schodzi coraz bardziej na psy, a tylko szkaradna kukułka skrzeczy do wtóru. Czegóż tedy dokonałeś? Gdzież twe dobrodziejstwo? Lud nie znosi nagłego szczęścia. Nie znasz ludu, nic o nim nie wiesz, przeto zostawże go w spokoju.

Krystjan patrzył przez okno na chmurne niebo. Potem zwrócił oczy na Crammona. Po raz pierwszy jakby dopiero w tej chwili spostrzegł, że przyjaciel ma dość pulchne policzki i podbródek z dołeczkiem, spoczywający na miękkiej warstwie tłuszczu. Nie mogąc znaleźć odpowiedzi, uśmiechnął się tylko i skrzyżował nogi.

— Cóż za nogi! — pomyślał Crammon z westchnieniem. — Cóż za wspaniałe nogi.

3.

Kilka dni później zjawił się Crammon znowu, w celu wysondowania Krysljana.

— Nie podobasz mi się, mój drogi, — zaczął — skłamałbym, mówiąc, że mi się podobasz. Dziś mija tydzień od czasu, kiedy zażywamy tej wilegjatury. Przyznaję, jest to przepiękne miejsce wywczasów wiejskich, na wiosnę, czy w lecie, w wesołem towarzystwie, kiedy można urządzać festyny w parku, a miasta kipią nudą. Ale teraz, wśród zimy, bez orgji, szaleństw i dam, jakiż lo ma cel? Czemuż się zakopujesz? Czemu zwieszasz głowę? Na co czekasz i jakie masz zamiary?

— Pylasz o tyle rzeczy, Bernardzie — odparł Krystjan — a nie powinienbyś tyle naraz zadawać pytań. Tu jest równie dobrze, jak gdzieindziej. Powiedz, gdzie może być lepiej.

Crammon odczuł nadzieję i wyraz jego twarzy rozjaśniło przeczucie wspólnych uciech.

— Gdzie może być lepiej? — rzekł. — Ależ drogi mój, każdy przedział wagonu jest lepszy, brudny przedpokój pani Simcliowilz w Mannheimie jest lepszy. Zresztą porozumieć się trzeba. Przedkładam plan świetny. Naprzód Palermo, Conca d'oro, Monte Pellegrino, Sycyljanki idące do kościoła, zerkające pożądliwie z poza welonów cnotliwości. Stamtąd urocze zboczenie do Neapolu. Magnes: panna Ivonne. Najbardziej krucze włosy, najbielsze zęby i najdoskonalsze, maleńkie nóżki Europy. Okolice, leżące wśród tych granic... sublime. Potem zatelegrafujemy do Prospera Madruzzi, który siedzi osmętniały w Palazzo Venezia i czeka na to tylko, by nas wprowadzić w dostojne koła rzymskiej arystokracji. Tam napotkamy same tylko contezzy, marchezy i principessy. Oryginały wszystkich pięciu części świata roją się tłumnie w tym, przedziwnym domu warjatów. Tam wyrabiają hece z ognistymi lazaronami zimnokrwiste Amerykanki o bajecznych nazwiskach i szkaradnych pończochach jedwabnych. Każda psia buda ma pretensję osobliwości, każda kupa kamieni wzbogacić może wiedzę twoją, a co krok, potykasz się o gigantyczne arcydzieła sztuki.

Krystjan potrząsnął głową i odparł:

— To mnie nie nęci.

— A więc inny projekt! — ciągnął Crammon dalej. — Jedź ze mną do Wiednia. To miasto zasługuje chyba na twe zainteresowanie. Czy słyszałeś coś o Mesjaszu? Mesjasz, to osoba, na której żydzi zamierzaja zakończyć erę swoją, a kiedy

przybędzie powitają go muzyką na cymbałach i szałamajkach. Tak bywa we Wiedniu przyjmowaną każda wybitna osobistość. Kto robi nieco tajemniczą minę, nie skąpi napiwków, a przytem tu i ówdzie da po nosie natrętowi zbyt ciekawemu, ten ma wszystkich u stóp swoich. Panuje tam pewien rodzaj miłego niechlujstwa, które zezwala na wszystko co zabronione. Kobiety, bez konkurencji, sztuka mięsa u Sachera niezrównana, walec, gdziekolwiek znajdzie się muzykus i skrzypki, elektryzuje. Jestlo podróż w krainę baśni, powiadam wyraźnie baśń czysta, senne marzenie. Zaprawdę, tęsknię za tem. Tęsknię za tą słodką atmosferą, pieczonemi kurczętami, sztrudlem ze śmietaną, za mcm cichem retiro o meblach z czasów Marji Teresy i za niemi drogiemi kobiecinami. Dalejże, otrząśnij się i jedź ze mną.

Krystjan potrząsnął głową:

— To nie dla mnie! — powiedział.

Twarz Crammona zapłonęła oburzeniem, a oczy jego rozbłysły.

— Nie dla ciebie? — zawołał — dobrze! Nic mogę ci dać do dyspozycji haremu sułtańskiego, ani raju proroka. Tedy zostawiam cię własnemu losowi i jadę sobie precz.

Krystjan uśmiechnął się, nie uwierzył bowiem. Ale nazajutrz, wielce wyraźnie zagniewany Crammon pożegnał go i wyjechał.

4.

Krystjan został w Christiansruh. Spadły obfite śniegi. Rok miał się ku końcowi.

Nie przyjmował nikogo i nie odpowiadał na zaproszenia przyjaciół. Święta Bożego Narodzenia miał spędzić u rodziców, w Wahnschaffeburgu, ale przeprosił i nie pojechał.

Christiansruh przeszło na wyłączną jego własność od czasu pełnoletności. Tutaj zgromadził wszystkie swe dzieła sztuki, plastyki, obrazy, minjatury, a zwłaszcza kolekcję tabakierek.

Handlarze przysyłali mu katalogi, a na znaczniejszych aukcjach miewał zawsze swego męża zaufania. Dawał mu zlecenia telegraficzne i niebawem otrzymywał tu puchar kryształowy, to serwis z meisseńskiej porcelany, to znów szkic węglowy van Gogha. Ale obejrzawszy nabytek, doznawał rozczarowania. Nie było to tak rzadkie i cenne, jak się spodziewał.

W ten sposób kupił raz Biblję z XVI wieku, drukowaną na pergaminie, z barwnymi inicjałami wewnątrz, a okutą w srebro na okładce. Kosztowała czternaście tysięcy marek i mieściła ex libris kurfirsta Augusta Saskiego. Przejrzał

ją z zaciekawieniem, nie bacząc treści, obcej mu zgoła i nic nie mówiącej. Radował się tylko świadomością, jak jest rzadka i cenna. Zaraz atoli zapragnął czegoś jeszcze rzadszego i cenniejszego, niż ta księga.

Każdego ranka karmił ptaki. Wychodził przed portal, mając w dłoni koszyczek z okruszynami, a one zlatywały się ze wszystkich stron, znały go bowiem i porę uczty. Głodne były, on zaś przyglądał się jak gorliwie dziobią. Na len widok zapominał pragnień swoich.

Pewnego dnia, przybrany w strój myśliwski ruszył w las i strzelił zająca. Gdy zwierzę leżało przed nim z oczyma mgłą zaszłemi, nie śmiał go tknąć. Mimo że upolował przedtem i nabił mnóstwo zwierza, uczuł teraz wstręt do lego rodzaju zabawki i zoslawił na ziemi lup, do którego zaraz zleciały się z wrzaskiem kruki.

W przechadzkach swych przechodził często przez wieś, odległą o kwadrans drogi od parku christiansruheńskiego. Na końcu wsi, przy gościńcu, stała leśniczówka. Kilka razy dostrzegł mimochodem w oknie twarz młodzieńca, która go zainteresowała. Wydało mu się, że pamięta rysy. Musiał to być

Amadeuszs, syn leśnika Yossa. Jako sześcioletni chłopiec bywał czasem na leśniczówce. Christiansruh zostało wybudowane później dopiero. Ojciec Krystjana dzierżawił lu wówczas polowanie i za każdym razem przebywał przez dni kilka na leśniczówce. Amadeusz bywał w tym czasie jego towarzyszem zabaw.

Oblicze budzące wspomnienie młodości było blade, o zapadłych policzkach, miało prosie wąskie wargi, a głowę okrywały gładkie, bardzo jasne włosy. Lśniąco szlifowane szkła okularów, przez refleks światła sprawiały wrażenie, że oczu nie posiada.

Krystjan dziwił się, że młodzieniec dzień po dniu całemi godzinami siedzi u okna i patrzy tępo na gościniec. Tknęła go wyraźnie owa tajemnica, moc jakaś sięgnęła doń z głębi.

Raz spotkał wójta, tuż u bramy parku. Krystjan przystanął, pozdrawiając.

— Czy żyje jeszcze leśnik Voss? — spytał.

— Nie. Leśnik zmarł przed trzema łaty! — odparł wójt. — Ale wdowa jego mieszka dalej na leśniczówce. Zostawiono jej dwie izby. Obecny leśnik jest kawalerem i wdowa mu nie zawadza. Pan pyta pewnie ze względu na Amadeusza, który zjawił się tu znowu nagle, choć nikt nie wie dlaczego...

— Cóż się z nim dzieje? — badał Krystjan.

— Miał zostać księdzem i studjował w seminarjum katolickiem w Bambergu.

Miał jaknajlepszą opinję, nauczyciele chwalili go i sławili, otrzymywał stypendja i spodziewano się cudów po nim. Ubiegłej zimy został przez przełożonego polecony jako wychowawca dyrektorowi banku, tajnemu radcy Ribbeckowi. Słyszał pan zapewne to nazwisko. Tajny radca to wielka ryba. Dwaj chłopcy, których miał wychowywać Voss, mieszkają w Halbertsroda, dobrach w górnej Frankonji, a rodzice zrzadka jeno odwiedzają dzieci. Jest to zresztą podobno małżeństwo nieszczęśliwe. Wszystko było z pozoru w największym porządku, a wszyscy sądzili, że niczego nie brak Amadeuszowi, wobec przyrodzonych uzdolnień jego i przy takich opiekunach. Nagle zjawił się tu z manatkami, siedzi po całych dniach w izbie, nie wdaje się z nikim, nie zaziera do książki, cięży oczywiście slarej malce swojej, a gdy doń przemówić, warczy jak zły pies. Niesłychane rzeczy zdarzyć się musiały w Halberlsroda. Nie sposób dojść sprawy, czasem tylko wypływa pogłoska, czy podejrzenie, że zajść coś miało jakoby z radczynią.

— Wszakże leśnik miał jednego jeszcze syna? — przerwał gadule Krystjan, w którym obudziły się wspomnienia wczesnej młodości:

— Tak jest! — odparł wójt. — Miał jednego jeszcze syna, imieniem Dylrycli, a był on głuchoniemy.

— Tak, był głuchoniemy! — potwierdził Krystjan.

— Zmarł w czternastym roku życia! — zauważył wójt. — Była to śmierć zagadkowa zresztą. Wieczór, w uroczystość sedańską poszedł przyjrzeć się watrom na górach, a nazajutrz znaleźliśmy jego ciało w stawie gminnym.

— Utonął?

— Zapewne musiał utonąć! — odparł wójt.

Krystjan skinął mu głową i przekroczywszy bramę, ruszył ku domowi.

5.

Letycja była z mężem na przedstawieniu w operze w Buenos Aires. Grano operetkę, pustą i jałową, jak piach pampasu.

W loży sąsiedniej siedział przystojny młodzieniec i Letycja dostrzegała mimo woli raz po raz rzucane przezeń, pełne uwielbienia błyski oczu. Nagle uczula silne szarpnięcie za ramię. Uczynił to Stefan, który bez słowa rozkazał, by z nim wyszła.

W przyciemnionym kurytarzu zbliżył swą błękitnawo białą twarz do jej ucha i syknął:

— Jeśli raz bodaj jeszcze zerkniesz ku temu błaznowi, wbiję ci sztylet w serce.

Zastosuj się do mych słów. My nie bawimy się w ceregiele, gdy idzie o tego rodzaju sprawy.

Wrócili do loży. Stefan śmiał się, łyskał zębami jak torero i wsadził w usta kawałek czekolady. Letycja spoglądała nań z boku dumając z zaciekawieniem, czy istotnie ma przy sobie sztylet.

Gdy wrócili nocą do estancji, dławił ją Stefan formalnie uściskami. Odsuwała go, prosząc jednocześnie:

— Stefania, pokaż mi sztylet. Daj mi go, chcę widzieć.

— Co za sztylet, głupiutkie stworzenie? — spytał zdziwiony.

— Ten, który mi chciałeś wbić w serce.

— Daj pokój! — odparł głucho. — Nie pora teraz mówić o morderstwie i sztylecie.

Nalegała uporczywie, by jej pokazał sztylet. Wówczas odsunął się od niej i popadł w ponurą zadumę.

Letycja przekonała się, że może z nim igrać dowolnie. Nie bala się już jego ponurej zadumy, jego wielkiej czaszki, byczego karku, ust warg pozbawionych, bladej twarzy, ni małych, a lak silnych dłoni. Wiedziała już, że może z nim igrać do woli.

Wielkie świetliki latały po powietrzu, obsiadając gęsto trawę. Gdy powóz stanął przed willą, uczyniła gest okrężny, wydając okrzyki zachwytu. Padał istny deszcz skier, świetliki otaczały ruchomą chmurą okna, dach, festony pnących roślin, a nawet wpadały do sieni.

Stojąc u ciemnych schodów, podziwiała fosforyczne błyski, polem zaś spytała głębokim tonem trwożnie, zaledwo dostrzegalnym nalotem autoszyderstwa:

— Drogi Stefanie... powiedz... czy one nie mogą wywołać pożaru?

Murzyn Scipio, który właśnie wyszedł przede drzwi z lampą, usłyszał to i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

6.

W dzień Trzech Króli przybył do Christiansruh Randolf von Slettner, wraz z kilku przyjaciółmi. Zapowiedzieli swój przyjazd telefonicznie, a pozbawiony tak długo towarzystwa Krystjan powitał ich ochotnie i ugościł. Miłym był zawsze Randolf. Wraz z nim przybyli dwaj towarzysze, baron Forbach, kapitan v. Griesingen, oraz młody docent dr. Leonard, który właśnie odbywał roczną służbę w bońskim pułku huzarów i był również w uniformie. Krystjan znał go z komersów

korporacji Borusów.

Uczta była wyśmienita, potem zaś równie wyśmienite cygara i napitki.

— Z wielkiem zadowoleniem spostrzegam, że nie gardzisz jeszcze powabami życia! — rzekł Randolf v. Slettner do Krystjana.

Kapitan v. Griesingen westchnął:

— Któż mógłby gardzić tem, co nas tak uroczo wabi i lak nieodpornie pociąga! Wszystko jest godne pożądania, kobiety, konie, wino, władza, sława, pieniądze, miłość. Pewien jubiler we Frankfurcie, Dawid Marku se, nabył i ma na sprzedaż djament, który podobno kosztuje przeszło pół miljona marek.

Nie kusi mnie on, coprawda, ale rzeczy le w każdym razie istnieją, są w posiadaniu ludzi i dają im szczęście.

— To djament Ignifer, — zauważył dr. Leonard — prawdziwy awanturnik pośród drogich kamieni.

— Ignifer, to miano odpowiednie dla djamentu, — — dodał Randolf — czemuż atoli mówisz pan o nim tak znacząco?

Czemże wyróżnia się z pośród podobnych sobie, poza ceną.

Żaliż miał niezwykłe losy?

— O tak, — odparł dr. Leonard — zaprawdę niezwykłe. Znam przypadkowo szczegóły, bowiem jako zamiłowany mineralog zajmuję się także czasem klejnotami.

— Opowiadajże pan! — zawołali młodzi oficerowie.

— Nabywca Ignifera dowiódłby, zaiste, wielkiej odwagi! — zaczął dr. Leonard. — Pierwszą jego posiadaczką była, jak to jest dowiedzione, pani de Montespan, zaraz potem odtrącona przez króla. Potem przeszedł w posiadanie Marji Antoniny. Ważył wówczas dziewięćdziesiąt pięć karatów. Czasu rewolucji skradziony, ukazał się dopiero w pięćdziesiąt lat później, rozłupany i ważył jeszcze tylko sześćdziesiąt karatów. Nabył go Anglik, Tomasz Horst, który skończył

samobójstwem. Spadkobiercy sprzedali go do Ameryki, pewna nosząca go dama Mrs Melnecorst została podczas balu uduszona przez szaleńca. Potem kupił Ignifera książę Aleksander Czernyszew, zawiózł do Rosji i podarował, kochance swej, śpiewaczce. Zastrzelił ją w biały dzień, na ulicy drugi kochanek, książę zaś padł od kuli nihilisty. Kamień dostał się potem do Paryża, a sułtan Abdul Hamid kazał go kupić dla faworytki swojej. Została ona otruta, zaś los sułtana znany jest. Po rewolucji tureckiej powędrował Ignifer z powrotem na Zachód i znowu na

Wschód, gdyż nabywca jego, niejaki Tavernier pojechał do Indji. Stracił życie podczas rozbicia okrętu pod Singapore. Długo myślano, że djament zginął wraz z nim. Rzecz się miała atoli inaczej. Klejnot zdeponowano w jednym z banków kalkuckich. Teraz wrócił znów do Europy i był na sprzedaż.

— Musi w nim siedzieć zły duch — powiedział Randolf — i wyznaję, że nie mam nań wcale ochoty. Nie jestem zgoła zabobonny, ale w tym przypadku fakty są tak przekonywujące, że zadają kłam najszczytniejszemu skeptycyzmowi.

— Cóż to znaczy, jeśli kamień jest piękny, niezrównanie piękny! — rzekł Krystjan, a twarz jego przybrała wyraz uporu i zadumy jednocześnie. Mówił nie wiele, chociaż rozmowa skierowała się na inny temat.

Nazajutrz po południu wziął auto i pojechał do Frankfurtu na Hochstrasse, gdzie miał swój magazyn jubiler, Dawid Markuse.

7.

Pan Markuse znał Krystjana.

Ignifer zamknięty był w kasie, wpuszczonej w ogniotrwałe i bezpieczne od włamania sklepienie. Dobył go z zamczystej, trudnej do otwarcia szkatułki i położył na zielonem suknie stołu. Potem cofnął się, patrząc na Krystjana.

Krystjan objął spojrzeniem migotliwą jaskrawą zjawę. Myślał przytem: Oto rzecz najrzadsza i najcenniejsza, niema chyba czegoś rzadszego i cenniejszego. I postanowił posiąść djament.

Kamień miał barwę potrosze cytrynowo żółtą i był wykonany, jako bogato fasetowana brjoletta. W czwartej części wysokości mieściło się uszko, tak że kobieta mogła nosić klejnot na szyi na sznurku, lub cienkim łańcuszku.

Markuse położył kamień na białym papierze, chuchnął nań i rzekł:

— Jest wprawdzie drugiej wody, niema atoli popiołu, rdzy, ni węzłów. Nie dostrzeże pan żyłek, pęknięć, ni wprysków, piór mgieł, ziarn i ani śladu słomek. To istny cud natury.

Cena wynosiła pięćset pięćdziesiąt tysięcy marek. Krystjan postawił ze swej strony ofertę. Markuse spojrzał na zegarek.

— Zobowiązałem się słowem wobec pewnej damy, — powiedział — ale czas minął właśnie.

Ugodzili się na pięćset dwadzieścia tysięcy. Połowa miała zostać wpłacona gotówką, reszta dwoma, różnoterminowymi wekslami.

— Nazwisko Wahnschaffe jest mi rękojmią dostateczną.

Krystjan zważył djament na dłoni i położył go na stół.

Dawid Markuse uśmiechnął się i rzekł, bez żadnej poufałości:

— W zawodzie moim poznaje się ludzi. Pan kupujesz ten klejnot w głębszym może celu, niż sam to sobie uświadamiasz.

Uwiodła pana dusza djamentu. Albowiem posiada on duszę.

— Tak pan sądzisz istotnie?

— Wiem to napewne. Niektórzy ludzie, na widok takiego kamienia tracą panowanie nad sobą. Nozdrza im drgają, bledną policzki, palce chwytają niepewnie, źrenice są powiększone, a każdy ruch zdradza wrażenie. Inni znowu są onieśmieleni, oszołomieni, lub smutni. Przedziwne miewa się widowiska.

Maski spadają. Djament czyni ludzi przeźroczystymi.

Nie podobał się Krystjanowi ten mało dyskretny zwrot rozmowy. Atoli często już doświadczał, że jest coś w jego istocie, co skłania innych do zwierzeń i opowiadań. Wstał, przyrzekając, że wróci wieczorem.

— Dama, o której wspomniałem, była tu wczoraj, — ciągnął dalej Markuse, odprowadzając go do drzwi — przedziwna, zaiste dama. Gdy weszła, pomyślałem: (czyż tak się chodzi? Czy możliwe jest tak chodzić? Niebawem dowiedziałem się, że jest to słynna tancerka. Stanęła w Palasthotelu a zatrzymała się na dzień jeden w przejeździe z Paryża do Rosji polo tylko, by zobaczyć Ignifera. Pokazałem jej djament. Conajmniej przez pięć minut siała bez ruchu, a miała laki wyraz twarzy, że gdyby klejnot nie stanowił znacznej części majątku mego, byłbym poprosił, by go raczyła przyjąć w darze. Nie często się to, coprawda przydarza w moim zawodzie. Miała wrócić tu dzisiaj, ale jak powiedziałem, minął czas.

— Może znasz pan jej nazwisko? — spytał Krystjan nieśmiało.

— Owszem. To Ewa Sorel. Czyś pan o niej słyszał?

Krew uderzyła Krystjanowi do twarzy. Puścił trzymaną w dłoni klamkę.

— Ewa Sorel, tutaj? — mruknął do siebie.

Opanował się coprędzej i otworzył drzwi, wiodące do pustego pokoju, którego posadzkę zaścielał czerwony dywan, a wzdłuż ścian widniały hebanowe szafy. W tejsamej niemal chwili rozwarto drzwi przeciwległe i w progu stanęła Ewa Sorel, za nią zaś widać było czterech mężczyzn.

Krystjan przystanął.

— Eidolon! — wykrzyknęła Ewa i złożyła ręce gestem sobie jeno właściwym, pełnym zachwytu i szczęścia.

8.

Krystjan nie znał panów, którzy jej towarzyszyli. Z rysów twarzy i stroju można ich było wziąć za cudzoziemców. Nawykli do najdziwniejszych przygód w codziennem życiu tancerki, spoglądali na Krystjana z chłodnem zaciekawieniem.

Ewa była od głowy do stóp otulona futrem z szarych kretów. Na kapturku widniała agrafa z prześlicznym rubinem i czaple pióro. Z pod kapturka wymykały się bujne zwoje włosów, barwy miodu. Twarz jej była lekko zaróżowiona od zimowego powiewu.

Uczyniła kilka gwałtownych kroków, a stanąwszy przed Krystjanem chwyciła obie jego dłonie rękami w białych rękawiczkach. Pod wpływem jej płomiennego spojrzenia skryły się w głąb jego duszy świadomość, radość, a nawet samo poczucie istnienia. Twarz jego wyrażała przestrach. Czuł się bezbronnym, jak piłka, którą ktoś rzuca i czekał na cel gdzie padnie.

— Kupiłeś Ignifera? — takie były jej pierwsze słowa, a gdy milczał zwróciła się, podnosząc brwi do Dawida Markuse.

Jubiler złożył ukłon i powiedział:

— Sądziłem, że nie mogę już liczyć na łaskawą panią.

Bardzo mi przykro.

— Istotnie, wahałam się zbyt długo! — odparła swą melodyjną niemczyzną o wybitnie obcym tonie. Potem, zwracając się ponownie do Krystjana, ciągnęła dalej. — Eidelon, niema może w tem różnicy, czy ja go mam, czy ty. Przypomina serce, zmienione przez żądzę sławy w kryształ. Ty jednak żądny sławy nie jesteś. Gdybyś był, nie spotkalibyśmy się tutaj, jak dwa ptaki zagnane burzą w jedną rozpadlinę skalną. Ten klejnot czyni wrażenie widma i nie przyjęłabym go od nikogo, kto nie wie co on oznacza. Któżby zaś mógł wiedzieć to. Daje się towar i na tem koniec.

Dawid Markuse spojrzał na nią pełen podziwu i skinął głową.

Przynosi podobno nieszczęście posiadaczom swoim — powiedział Krystjan zcicha.

— Czy chcesz na nim zmierzyć siły swoje, Eidolon, czy chcesz zrobić próbę? Chcesz wyzwać demona, by wiedzieć szy coś przeciw tobie uczynić zdoła? Może mścił on się tylko na niegodnych, którzy go zdobyli podstępem. I mnie skusił także. Nazwa jego uczyniła mnie zazdrosną. Gdym go trzymała w dłoni, był czemś jak pępek Buddy. Nie można odeń oderwać myśli, ujrzawszy raz.

Spostrzegła, że obecność świadków onieśmiela Krystjana, ujęła go przeto pod,ramię i pociągnęła we wnęk okienny, przysłonięty firanką.

— Niewątpliwie ściąga na ludzi nieszczęście! — powtórzył mechanicznie. — Ale jakże go mam zatrzymać dla siebie, wobec tego, że ty, Ewo, chciałaś go posiąść.

— Weź go, weź i odczaruj! — odparła ze śmiechem.

Widząc jego powagę, przeprosiła za śmiech gestem,

jakby coś lekkiego wyrzucała z dłoni. Jęła nań spoglądać w milczeniu. W ostrym refleksie światła od śniegu, oczy jej miały zieloną barwę malachitu.

— Cóż ci jest? — spytała. — Masz spojrzenie samotnika.

— Dość już długo żyję niemal samotnie, — odrzekł Krystjan, jak zawsze oschle i ściśle — nawet Crammon mnie opuścił.

— Iwan Becker pisał mi o tobie, — powiedziała zcicha. —

List ten ucałowałam. Nosiłam go na piersiach, powtarzając często półgłosem słowa. Czy istnieje zmartwychwstanie? Czy dusza może wykiełkować z ciemni, jak kwiat z korzenia?

Czemuż tak stoisz bez ruchu? O ty pyszałku! Mów, czas krótki.

— Na cóż mówić! — zarzucił.

Mimo, że spojrzenie jego pozostało tępe, jakby niczego nie dostrzegał, zauważył zmianę w obliczu Ewy. Był tam nowy rys surowości, spotężniała wola przebijała przez muskulaturę, ogarniając nawet ruch długich rzęs. Doświadczenia poczynione z ludźmi i rzeczami przepoiły jej twarz lśnieniem, a zupełne owładnięcie sobą nadało ton dostojeństwa.

— Nie zapomniałam wcale, że tu mieszkasz, — zaczęła znowu, — ale wir zajęć nie zostawił miejsca dla ciebie. Oni liczą kroki moje i czyhają na chwilę, kiedy się obudzę. Powinnam pragnąć więzienia, lub bezinteresownego przyjaciela, któryby mnie zmusił szczędzić samej siebie. Podczas pobytu w Lizbonie dostałam od królowej prześlicznego, wielkiego psa, który lak był do mnie przywiązany, że czułam to wszystkiemi fibrami ciała. W tydzień potem leżał struty u furtki ogrodowej. O, jakże był milczący i czujny i jak umiał kochać. Omal nie wzięłam po nim żałoby! — Drżąc z chłodu, uniosła ramiona, opuściła je znowu i mówiła dalej spiesznie. — Zawezwę cię. Czy przybędziesz gdy cię wezwę? Czy będziesz gotów przybyć?

— Przybędę! — odpowiedział poprostu, ale serce mu zatętniło.

— Masz dla mnie jeszcze jakieś uczucie? Niezmienne? Nie zniszczalne? —

spojrzenie jej miało nieopisany wzlot, a ciało pod tchnieniem ducha wymknęło się z codziennej osłony.

Pochylił jeno głowę.

— A cóż tam z Cortezją? — przystąpiła tak blisko, że Krystjan poczuł woń jej oddechu. — On się uśmiecha! — zawołała, cofając usta. — Miast paść raz choćby na kolana, szaleć, czy radować się, on się uśmiecha! Miej się na baczności z tym uśmiechem, gdyż może mi przyjść ochota zgasić go! — zerwała rękawiczkę z prawej dłoni i podała ja Krystjanowi, który posłusznie dotknął jej ustami. — A więc rzecz ułożona, Eidelon — powiedziała wesoło, tonem uwodzicielskim — jesteś gotów. Messieurs — zwróciła się wychodząc z wnęku do panów świty swojej, którzy po dwu, rozmawiali ze sobą szeptem — nous sommes bien presseés.

Pożegnała jubilera lekkim ruchem głowy, a panowie przepuścili mimo krocząca żwawo, polem zaś bez szmeru, z czcią wielką poszli za nią.

9.

Krystjan szedł przez wieś. Zobaczywszy siedzącego przy oknie Amadeusza Vossa, przystanął.

Voss wstał porywczo, otworzył okno, a Krystjan podszedł bliżej.

Była odwilż. Woda kapała z rynien dachów. Krystjan z lubością oddychał ruchliwem, mokrem powietrzem.

Oczy Vossa, okryte lśniąco szlifowanemi szkłami połyskiwały żółto.

— Znamy się, pono! — powiedział. — Chociaż dużo minęło czasu od kiedy tam, w Hag zbieraliśmy ostrężyny. Bardzo to dawne dzieje! — zachichotał zcicha.

Krystjan postanowił skierować rozmowę na głuchoniemego brata Amadeusza. W mgle przeszłości tkwiło lam zdarzenie, którego wyjaśnić sobie nie mógł, mimo wszelkich wysiłków myśli.

— Ludzie łamią sobie nademną głowy? — spytał Amadeusz, tonem człowieka, który chciałby wiedzieć co inni mówią o nim. — Jestem, zda mi się, kamieniem obrazy. Cóż pan sądzi?

— Nie przyznaję sobie prawa sądu! — odrzekł Krystjan niechętnie.

— Jakimże tonem, mówisz pan to! — mruknął Amadeusz, mierząc go spojrzeniem od stóp do głowy. — Jesteś pan dumny. A z jakiegoż powodu, jeśli nie przez ciekawość zatrzymałeś się pan tutaj?

Krystjan wzruszył ramionami.

— Czy pamiętasz pan pewne zdarzenie z czasu, kiedy przebywałem z ojcem na

leśniczówce? — zapytał łagodnie i grzecznie.

— Cóż to za zdarzenie? Nie wiem o niczem... Zresztą czekajże pan,... może idzie o tę historję ze świnią? Gdy raz w gospodzie bito świnię, a ja...

— Tak, tak, mam na myśli historję z ową świnią! — odparł Krystjan, uśmiechając się blado. chwili kiedy to wypowiedział, cała widownia i akcja stanęły mu żywo w myśli.

Stał pod bramą z Amadeuszem i głuchoniemym Dytrychem. Nagle świnia zaczęła kwiczeć. Amadeusz wzniósł w tej chwili ramiona, które drgały konwulsyjnie w powietrzu. Przeraźliwy, przez całe minuty trwający wrzask śmiertelny zwierzęcia był dla Krystjana nowością, przejął go dreszczem, jednocześnie wabiąc go ku miejscu skąd dolatał. Pobiegł tam i ujrzał lśniący nóż rzeźnika wznoszące się i opadające ramię jego, oraz szamotanie krótkich, szczecinowatych nóg i ciała ofiary, które wiło się w drgawkach po ziemi. Amadeusz, z pianą na ustach, podążył za nim chwiejnie i powtarzał, wskazując palcem: Krew! Krew! Krystjan ujrzał krew na ziemi, na nożu i na białym fartuchu rzeźnika. Co się działo potem, nie wiedział już. Wiedział to jednak Amadeusz Voss.

Powiedział:

— Ogarnął mnie jakiś straszny skurcz, gdy świnia kwiczała. Przez kilka godzin leżałem sztywny, jak kij. Rodzice przerazili się, gdyż przypadłości takich nie miałem dotąd. Pamiętasz pan zapewne, w jaki sposób usiłowałeś dodać mi otuchy, czy zawstydzić. Wszedłeś pan w kałużę krwi i łupałeś nogami, tak że krew tryskała wysoko. Mój głuchoniemy brat zauważył, że to zwiększa jeszcze moje podniecenie. Jął bełkotać i wzniósł prosząco ręce ku panu. Tymczasem matka wybiegła z domu.

Pan wówczas uderzyłeś Dytrycha pięścią w twarz.

— To prawda! Uderzyłem go pięścią w twarz! — przyznał Krystjan i pobladł.

— Az jakiegóż powodu? Dlaczego biłeś go pan? Od lego czasu nie zetknęliśmy się już nigdy. Widywaliśmy się zdaleka, to znaczy ja widywałem pana, pan mnie nie. Byłeś pan zbyt wytworny i zawsze towarzyszył panu, pański Anglik na przechadzkach. Czemu uderzyłeś pan Dytrycha? Czcił on pana wszakże potajemnie, biegał wszędzie za panem, nieprawdaż? Nieraz śmialiśmy się z tego obaj. Od tego dnia zaszła w nim i to wyraźna zmiana.

— Przypuszczam, żem go nienawidził! — odparł zadumany Krystjan. — Nienawidziłem go dlatego, że nie słyszał i nie mówił. Uważałem to za złośliwość.

— Dziwne. Za złośliwość uważałeś pan to? Dziwna rzecz.

Umilkli obaj. Krystjan dotknął kapelusza i zabierał się iść.

Voss oparł łokcie o deskę okienną, wychylił się i powiedział:

— Czytałem w dzienniku, że pan kupił djament za przeszło pół miljona marek. Czy to prawda?

— Tak, to prawda! — odrzekł.

— Za jeden, jedyny djament przeszło pół miljona! Sądziłem, że jest to gazeciarska blaga. Czy mógłbym kiedyś zobaczyć len kamień? Czy mi go pan pokaże?

Twarz jego wyrażała taką otwartość, pożądliwość, a jednocześnie tyle było w niej szyderstwa, że Krystjan zdumiał się.

— Chętnie, jeśli, pan pofatyguje się do mnie, — odparł, jednocześnie atoli postanowił zlecić służbie, by oświadczyła, że go niema, gdyby Amadeusz przyszedł naprawdę.

Tknęła go tajemnica, głębia rozwarła się, ramię jakieś sięgnęło po niego.

10.

Pewnej nocy zbudziła się Letycja. Usłyszała szybkie, posuwiste siąpania, zadyszane oddechy ściganych, szepty i chrypliwe klątwy, to blisko to znów dalej. Usiadła w łóżku, nadsłuchując. Sypialnia jej zwrócona była na wolną przestrzeń, a drzwi wiodły ku krągłej werandzie, otaczającej całe piętro domu.

Niebawem rozebrzmiały spieszne kroki. Dostrzegła postacie, zarysowane czarno na ciemni szybko przebiegające. Jednę, dwie, trzy, po chwili zaś czwartą. Bała się, nie mając jednak odwagi wołać. Stefan, spał w pokoju przyległym, a budzić go było zarówno dla niej, jak i dla innych rzeczą niebezpieczną, zacząłby bowiem ryczeć jak wół i drgać calem ciałem, niby pajac na sznurkach.

Na tę myśl roześmiała się i przejął ją dreszcz.

Zwalczając strach wstała, zarzuciła szlafrok i wyszła odważnie na werandę. W tej chwili rozstąpiły się ciężkie chmury, słoniące księżyc. Przerażone niespodzianą jasnością postacie zatrzymały się w biegu, wpadły na siebie wzajem i jęły patrzeć po sobie, dysząc ciężko.

Letycja ujrzała przed sobą starego Gotliba Gunderama, oraz trzech jego synów Riccorda, Paola i Demetrjusza, braci męża. Podejrzliwość nienasycona (dzieliła stale ojca i synów, śledzili się wzajem i obwiniali. Ile razy była gotówka w domu, ojciec nie miał odwagi iść spać, a każdy z braci posądzał innych, że go chcą

obrabować. Wiedziała o tem Letycja. Nowością było atoli dla niej to, że zdjęci zaciekłością, chytrze gonili za sobą po nocy dokoła werandy domu, każdy w roli napastnika i napastowanego jednocześnie, drżąc przed tym, który był w tyle, a pełen nienawiści dla poprzednika swego. Roześmiała się i przejął ją dreszcz.

Ojciec pierwszy uszedł chyłkiem. Wśliznąwszy się do swego pokoju legł w ubraniu na łóżku. Obok łóżka stały dwa, wielkie kufry podróżne, wypakowane i zamknięte. Od dwudziestu lat postanawiał codziennie jechać do domu rodzinnego w Buenos Aires, albo nawet do Stanów, ile razy mu dogryzły zwady, zrazu z żoną, potem zaś z synami. Mimo to nie wydalił się nigdy na odległość godziny drogi od estancji. Ale kufry były gotowe.

Cichaczem i chyłkiem opuścili w końcu i bracia werandę. Letycja oparta o parapet patrzyła w księżyc. Nagle rozebrzmiały chrobotliwe tony gramofonu. Riccardo kupił instrument niedawno w mieście i często zdarzało się, że go nakręcał późną nocą.

Letycja postąpiła kilka kroków i zajrzała do pokoju, gdzie trzej bracia z ponuremi minami, siedząc u stołu grali w pokera. Gramofon wyrzucał z mosiężnej paszczy akordy ordynarnego walca.

Roześmiała się Letycja i przejął ją dreszcz.

11.

— Czy też przyjdzie? — myślał Krystjan. Upłynęły mu dwa dni w ponurem nieco napięciu.

Chciał się udać do Waldleiningen, by zajrzeć do koni swoich. Chwilami widział przed sobą, ich ogniste, a łagodne oczy, aksamitną sierć, oraz odczuwał ponętną nerwowość, wibrującą pomiędzy swawolą, a niepokojem. Przypominający piżmo zapach stajni nęcił go zmysłowo.

W wyścigach jesiennych miał brać udział pełnej krwi Szkot, kupiony od sir Denisa Lay. Doniesiono mu jednak, że koń ma się źle od kilku tygodni. Pewny był, że cierpi z powodu braku pieczołowitej jego opieki. Mimoto nie pojechał do Waldleiningen.

Trzeciego dnia zapytał Amadeusz za pośrednictwem głównego ogrodnika, czy może wieczorem odwiedzić Krystjana. Krystjan udał się popołudniu, około czwartej na leśniczówkę i zapukał do mieszkania wdowy Voss.

Twarz Amadeusza wyrażała podejrzliwe zdumienie. Instynktem klasy uciskanej odczuł, że Krystjan chce go trzymać zdala od swego domu. Ale Krystjan nie zdawał sobie z pobudek swoich sprawy tak jasno, jak to podejrzywał Amadeusz.

Poczuł jeno niebezpieczeństwo, doznał pociągu magicznego i napoły nieświadomie wyszedł naprzeciw niego.

Mieszkanko nie było zdobne, ale schludne i panował w niem porządek. Rozglądając się zobaczył na bielonej ścianie nad łóżkiem kilka naklejonych kartek. Wypisane na nich były wielkiemi literami cytaty z Biblji, jak n. p. — Był dręczony i poniewierany, atoli nie rozwarł ust swoich, podobny jagnięciu wiedzionemu do rzeźni, tedy jako owieczka milczy przed postrzygaczem swoim, ust nie otworzył. — Był taki cytat: — Nadchodzi dzień strachu, zamieszania i klęski przed Panem, Władcą świata na dolinie Sądu. Mury padają w gruz tak, że łoskot płynie aż po zbocza gór. Polem inny: — I rzekł do mnie Pan: Idź i postaw strażnika, niech patrzy i donosi! Ja zaś wykrzyknąłem, jako lew na straży: O Panie! Przez cały stałem dzień i całą noc pełniłem straż! A Pan rzekł mi: Rok jeszcze tylko, jak są lala zarobnika dziennego, a w niwecz pójdzie wspaniałość Kedara! — I dalej: — O, gdybyś był zimny, lub gorący, iżeś zaś jest ani zimny, ani gorący, ale letni, wyrzucę cię z ust moich. Kto ma uszy ku słuchaniu, niech baczy co doń mówi duch.

Krystjan patrzył długo, z ciekawością na Amadeusza Vossa.

— Czy pan jesteś pobożny? — spytał tonem ostrożnym, jednak z pewną przymieszką drwin, jakie z tem pojęciem łączyć zwykł każdy światowiec.

— Czy odpowiem lak, czy nie, — rzekł Voss marszcząc czoło — będzie to dla pana zupełnie obojętne. Czy pan przyszedł, by mnie badać? Cóż znaczyło pytanie. Czy łączy nas obu coś, co dałoby się zamknąć w tem słowie? Amadeusz Voss i Krystjan Wahnschaffe to jednostki biegunowe różne. Jakież równanie zdołałoby odzwierdciedlić przeciwieństwa nasze? Moja młodość, pańska młodość. Dziwne, że jest to możliwe na lej samej ziemi.

— Czy miałeś pan aż tak ciężka młodość?

Voss roześmiał się krótko i spojrzał z pod oka na Krystjana.

— Czy wiesz pan co to są obiady dobroczynne? Oczywiście nie. Dobrzy ludzie dają obiady, dobrzy, dobrotliwi ludziska. Jadasz każdego dnia tygodnia u innej rodziny i lak dalej, co tydzień po kolei. Wzamian za to trzeba być uległym i bardzo skromnym. Gdybyś miał nawet wstręt do jakiejś potrawy, trzeba udawać, że jest to smakołyk. Gdy dziadunio się roześmieje, śmiej się także. Gdy wujaszek powie dowcip, musisz wyszczerzyć zęby, a gdy córka domu jest bezczelną, powinieneś milczeć. Każde oddane pozdrowienie jest łaską, a wdzięczność dozgonną żyw za wyszarzały płaszcz o podartej podszewce, który ci dadzą na początku zimy.

Zapoznasz się rychło z wszystkimi objawami złego humoru

współbiesiadników, z całą nikłością poglądów z wszystkimi frazesami i obłudą a sam musisz na każdą godzinę z góry ułożyć odpowiedni sposób udawania. To są obiady dobroczynne.

Wstał, pochodził po izbie i usiadł znowu.

— Djabeł objawił mi się dość wcześnie! — rzekł głucho. — Być może bardziej sobie wziąłem do serca pewne przeżycie z lat dziecięcych, a może srożej mnie ono zatruło. Zapomnieć nie sposób widoku, kiedy pijany ojciec bije matkę. I to regularnie każdej soboty, jak Amen w pacierzu. Wżera się to w myśl i niczem zatrzeć nie da.

Krystjan nie spuszczał z oka twarzy Amadeusza.

Cichym głosem, patrząc tępo opowiadał Voss:

— Pewnej nocy, przed Wielkanocą, gdym miał około ośmiu lat zaczął ją bić znowu. Wybiegłem na podwórze, wołając do sąsiada, by pospieszył z pomocą. Wówczas zobaczyłem przy oknie, przy tem oknie matkę, która stojąc załamywała rozpacznie ręce. Była naga! — ciszej jeszcze, ledwo dosłyszalnie dodał: — Komuż to wolno patrzeć na nagość matki własnej?

Wsiał znowu i jął chodzić wokoło. Tak go opanowały te sprawy, że mówił do siebie wyłącznie:

— Dwie sprawy poruszały w dzieciństwie już myśl moją. Przedewszystkiem zainteresował mnie los licznych biedaków, którzy za drobne kradzieże drzewa dostawali się skutkiem doniesień ojca do więzienia. Często słyszałem jak stara kobiecina, albo brudny, wygłodniały wyrostek błagali o zmiłowanie. Ale ojciec nie znal litości. Był leśnikiem i oczywiście czynić tak musiał. Następnie dumałem o bogaczach lej właśnie okolicy, którzy mieszkają w pałacach swych i dobrach, wśród ciągłych zabaw i łowów, nie odmawiając sobie niczego, pod wrażeniem byle zachcianki, czy swawoli. Człowiek czuje, że stoi pomiędzy dwu walcami, które go z czasem zgnieść muszą.

Przez chwilę patrzył tępo przed siebie.

— Co myślisz pan o donosicielu? — spytał nagle.

— Nic dobrego, — odparł Krystjan, uśmiechając się z przymusem.

— Słuchajże pan. Miałem w seminarjum kolegę, nazwiskiem Dippel. Był to człowiek średnich zdolności, ale porządny i obowiązkowy. Ojciec jego pełnił funkcje strażnika kolejowego, zaliczał się tedy do wielkich biedaków, a syn

stanowił całą jego dumę i nadzieję. Otóż Dippel zapoznał się z pewnym malarzem, studentem i dnia jednego ujrzał w jego mieszkaniu album z fotografjami kobiecych aktów. Przeglądał je długo, potem zaś poprosił malarza, by mu albumu tego pożyczył. Dippel spał w jednej ze mną sali. Byłem najstarszym w sypialni i spostrzegłem zaraz zmysłowe podniecenie i krzątaninę dokoła Dippla, który się zwierzył kilku kolegom. Przypominało to jątrzącą ranę. Rozwinąłem śledztwo i musiano mi wydać to bezeceństwo. Ale nie pomogło. Złożyłem donos, Dippla wzięto na spytki i wypędzono sromotnie. Nazajutrz znaleziono go, wiszącego na jabłoni w ogrodzie.

Twarz Krystjana oblał rumieniec. Bardziej jeszcze, niźli samo opowiadanie odpychał go ton spokojny Amadeusza.

Ciągnął dalej:

— Uważa pan, oczywiście, za nikczemność to co uczyniłem. Atoli, wedle wpajanych nam zasad, było to obowiązkiem moim. Miałem lat szesnaście, żyłem w ciemnej jamie, chciałem się wyrwać, wyżej i iść w świat. Było mi jak komuś, kio tkwiąc w ciżbie, duszony i gnieciony, nie może dostrzec tego, co tam gdzieś dalej jest do widzenia. Trawił mnie duszny niepokój... swobody... swobody... domagało się we mnie wszystko. Takich uczuć doznawać muszą ci, którzy żyją na ciemnej wieczyście stronie księżyca. Bałem się potęgi zła. Wszystko, czego od ludzi doznałem było mniej lub więcej złe. W duszy czułem wahające się szale wagi. Bywają godziny, kiedy możnaby równie dobrze mordować, jak umrzeć na krzyżu. Pożądałem szerokiego świata. W czasach owych dużo się modliłem, czytywałem książki nabożne i odprawiałem surowe ćwiczenia pokutne. Późną nocą, gdy wszystko spało zastawał mnie nasz pater we włosiennicy, pogrążonego w modłach. Podczas mszy i przy śpiewie chóralnym ogarniało mnie niewysłowione uniesienie duchowe. Z drugiej jednak strony widziałem inne rzeczy, ulice miasta przyozdobione flagami, strojne kobiety, lub na dworcu pociąg luksusowy, który szydził ze mnie. To znów ujrzałem człowieka, który skoczył z okna i leżał z rozpryśmętym mózgiem. Posłyszałem, że woła we mnie: Bracie! Bracie! Ujrzałem zło we własnej jego osobie i chciałem pochwycić szatana. O tak, zło ma kształt cielesny i tylko zło, a więc niesprawiedliwość, głupota, kłamstwo, to wszystko, co przenika nawskróś strachem, o ile się, oczywiście nie przyszło na świat ze srebrna łyżką w ustach. Chcąc sobie wywalczyć odrobinę światła, wyuczyłem się grać na organach. Niewiele to jednak pomogło. I cóż znaczy gra na organach? Czemże są wiersze, piękne obrazy, budowle, dzieła filozoficzne i cały

ten strojny świat zewnętrzny? Przyjść do siebie nie mogę. Pomiędzy mną, a mną, jest coś, cóż to być może? Jakaś ściana z gorejącego szklą. Niektórzy są przeklęci od urodzenia. Zadaję sobie pytanie, coby się stać musiało, by przekleństwo przestało działać. I słyszę odpowiedź:

Potworność słaćby się musiała, potworność! Tak sprawy stoją.

— Jakąż to potworność masz pan na myśli? — spytał zakłopotany Krystjan.

— Trzebaby przeżyć człowieka! — odparł Voss. — Nie rzecz, ale człowieka.

W zapadającym zmroku twarz jego miała siność kamienia. Rysy jego były regularne, delikatne, uduchowione, namiętne i nacechowane cierpieniem. Szkła okularów połyskiwały w ostatnich blaskach dnia, a na jasnych włosach leżała złotawa poświata.

— Czy zostaniesz pan tu, na wsi? — badał Krystjan, nie przez ciekawość, ale by przerwać kłopotliwe milczenie. Byłeś pan wszakże u tajnego radcy Ribbecka, czy nie zamierzasz pan wracać tam?

Voss drgnął calem ciałem.

— Wracać? Niema powrotu! — mruknął. — Czy znasz pan radcę? Ja go niemal nie znam. Widzieliśmy się zaledwo dwa razy. Po raz pierwszy, gdy przybył do seminarjum, by mnie zaangażować do synów swoich. Myśląc o tem, widzę przed sobą coś tłustego i lodowatego. Wybór padł zaraz na mnie. Posiadałem wysokie uznanie przełożonego, toteż chciał mi ułatwić drogę życia. Tak... Po raz drugi widziałem go pewnej nocy grudniowej, gdy przybył do Halberlsroda z komisarzem policji, by mnie wyrzucić na szczere pole. Nie patrz pan z takiem przerażeniem. Skutków dalszych nie było, zatajono wszystko.

Umilkł. Krystjan wstał. Voss nie zachęcał go do dłuższego pobytu, ale podprowadził do drzwi. Nagle rzekł innym tonem:

— Dziwny z pana człowiek, zaprawdę! Siedzisz pan i milczysz a drugi mówi i zwierza się. Cóż to właściwie znaczy? — Jeśli pan żałuje, zapomnę o wszystkiem! — odparł Krystjan w zwykły swój przymilny i grzeczny sposób, nie całkiem wolny od dwuznaczności.

Voss zwiesił głowę.

— Zechciej pan wstąpić tu znowu kiedyś, przechodząc mimo, — poprosił zcicha — a może opowiem panu — wskazał palcem przez ramię — może opowiem o tamtem.

— Przyjdę! — rzekł Krystjan.

12.

Albrecht Wahnschaffe udał się do sypialni do leżącej w łóżku żony. Było to potężne łoże z baldachimem na kręconych slupach. Po obu stronach widniały na ścianie kosztowne gobeliny, wyobrażające sceny mitologiczne. Kołdra z błękitnego adamaszku osłaniała majestatyczną postać pani.

Pan Walinschaffe ucałował po rycersku dłoń żony, którą mu podała ruchem znużenia i osunął się w fotel.

— Chciałbym pomówić z tobą o Krystjanie, — zaczął — zachowanie jego niepokoi mnie od pewnego czasu. Zanadto już tej bezplanowości. Teraz znowu owo kupno djamentu. Taka rzecz działa wyzywająco. Psuje mi to humor.

Pani Richberta zmarszczyła czoło.

— Nie widzę wcale powodu do zaniepokojenia! — odparła. — Wielu synów bogatych sfer wiedzie takie, jak Krystjan życie. Przypominają szlachetne rośliny służące ku ozdobie. Zdaniem mojem, są oni wskaźnikami poziomu kultury, sami się uważają za doskonałych i mają rację zupełną. Urodzenie i majątek chronią ich od trudów zawodu. Istota ich, to nietykalność arystokratyczna i rezerwa.

Albrecht Wahnschaffe pochylił się i rzekł, bawiąc własnymi białymi palcami, których nie tknął ni cień starości:

— Przebacz, ale mam inne zapatrywanie. Sądzę, że w naszym świecie społecznym każdy powinien pełnić jakąś funkcję, pożyteczną dla ogółu. W tym poglądzie wychowałem się i nie mogę go zmienić na rzecz Krystjana. Pogodziłbym się zresztą z jego lekkomyślnością w używaniu pieniędzy, mimo że znacznie przekroczył w ostatnich miesiącach przyznany sobie budżet. Podkreślam, że majątek domu Wahnschaffe nie ucierpi skutkiem tego rodzaju wybryków. Dziwi mnie atoli brak punktu centralnego w życiu Krystjana? oraz niejednokrotnie przejawiona obojętność na zaszczyty i godności.

Pani Richberta spojrzała na męża chłodno z pod opuszczonych powiek. Gniewało ją, że chce wciągnąć w swe wirujące kręgi interesów Krystjana, stworzonego do wywczasu, zabawy, uciechy i piękna.

— Zostawiłeś mu dotąd swobodę, — rzekła — czekajże tedy i patrz co będzie dalej. Nie wszyscy muszą się pocić.

Ruchliwość i interesy to rzeczy nie apetyczne zgoła. Urodziłam ci dwu synów, jednego dla ciebie, a dla siebie drugiego. Żądaj od swego co ci się podoba, on zaś niech czyni co może. O swoim chcę tylko myśleć i cieszyć się, że istnieje. Martwi mnie to tylko, że Krystjan, od czasu swej podróży do Anglji, coraz to bardziej

odsuwa się od nas, a także jak słyszałam od wszystkich przyjaciół swoich. Mam nadzieję, że jest to drobiazg. Może tkwi w tem kobieta, a takie rzeczy mijają rychło. Nie zwykł robić w tych sprawach tragedji. Mówienie męczy mnie, Albrechcie. Jeśli masz jeszcze jakieś argumenty, to odłóż je, proszę na raz inny.

Obróciła głowę i zamknęła znużone powieki. Albrecht Wahnschaffe wstał, ucałował dłoń żony, w ten sam co przed rozmową sposób i odszedł.

Słowa żony, że urodziła dwu synów, jednego dla niego, drugiego dla siebie rozgoryczyły go na żonę, którą zawsze uważał za coś nietykalnego i wyższego. I na cóż to wszystko stworzyłem? Takie sobie zadawał pytanie, idąc wolnym krokiem przez wspaniałe komnaty.

Trudno mu było zbliżyć się do Krystjana, trudniej niż do ministra, czy otoczonego wielbicielami przybysza. Nie mógł się zdecydować, czy ma prosić, czy rozkazywać. Nie był pewny swego autorytetu, a mniej jeszcze przyjacielskiego porozumienia. Kiedy atoli udał się do Würzburga do siedziby rodowej, dla wypoczynku i rozrywki, posłał do Krystjana list z prośbą o rozmowę.

13.

Crammon pisał do Krystjana: Czcigodny! Najszanowniejszy! Z niewysłowionem zadowoleniem dowiaduję się, że Wasza Miłość wrócił kornie na łono boga Djonizosa i na znak lego złożył na ołtarzu jego klejnot, którego cena wprawia w szczękanie zęby filistrów krajowych, oraz niebezpiecznie pobudza kulawą strawność ich żołądków. Niżej podpisany, natomiast, wyczytawszy dobrą wieść, wykonał w samotnej swej komnacie pogański taniec triumfu, lak że przerażone damy pałacowe wszczęły niezwłocznie telefoniczne rozmowy z psychiatrami. O tak, świat pozbawiony jest świadomości i niezdolny wznieść się na wyże wielkich wydarzeń.

Pędzę dość niemiłe chwile. Zaplątałem się w sprawki miłosne, które mnie nie radują, a po stronie drugiej, u biorących w nich udział, wywołują rozczarowanie. W tej chwili siedzę przy uroczym kominku, na którym płoną drwa i zamknąwszy oczy czytam księgę wspomnień. Flaszka złocistego koniaku jest mi towarzyszką. Serce me przenika sztuczne ciepło, a górne sfery myśli zapadają w chłodne misterjum tępoty. Władze mego umysłu maleją, a męskość dużo pozostawia do życzenia. Przed kilku laty poznałem w Paryżu szachistę. Był to siary, głupi Niemiec, przegrywający z każdym partnerem. Za każdym razem wykrzykiwał, aż huczało po całej Cafè de Regence: — Ach, gdzie te czasy, gdym bił Ciastka. Otóż Ciastek był to słynny szachista swego czasu. To zastosowanie wprawia mnie

w zakłopotanie. Był raz pewien rzymski cesarz, który w ciągu jednej, jedynej nocy pozbawił sio czterdzieści dziewic germańskich tego, z czego jemu samemu nie przyszło nic. Zwał się, o ile wiem, Maksencjusz. Czyliż mam wołać: — O, gdzież te czasy, kiedy biłem Maksencjusza? Byłbym niegodnym pyszałkiem.

Szkoda, że nie możesz być świadkiem lej chwili, kiedy rano wstaję z łóżka. Widowisko to zasługuje, by je zbadali rzeczoznawcy, a wówczas widzowie cisnęliby się, jak ongiś do levers królów Francji. Arystokracja kraju składałaby mi hołdy, a piękne damy łaskotałyby mnie, by wywołać cień wesołości na twarzy. Młody, a błogosławiony przyjacielu i towarzyszu mych marzeń sennych, wiedz, że niewysłowiony smętek owiewa chwile, kiedy opuszczając mile wygrzaną własnem ciałem pościel wstaję, by w ciągu dziesięciu, czy jednastu godzin wyprawiać głupstwa. Siedzę na skraju łóżka i spoglądam z wściekłością na bieliznę swoją. Zbieram ze smutkiem resztki mej osobowości i nawiązuję nić w miejscu, gdzie ją przeciął Morfeusz. Dusza moja rozsypana jest wokół i toczy się, jak kulki rtęciowe rozbitego termometru. Z ziemią wiążą mnie na nowo i godzą z losem dopiero dymy ofiarne, wznoszące się z czajnika, zapach szynki i widok jajecznicy, słonecznikowej barwy, oraz łagodne słowa troskliwych zarządczyń domu.

Stary Regamey zmarł. Hrabiego Sinsleima tknął paraliż. Przyjaciółka moja, lady Konstancja Cunningham, dama z najwyższej arystokracji wyszła za amerykańskiego chama dolarowego. Najlepsi przepadają, drzewo życia traci liście. Jadąc tu, zatrzymałem się w Monachjum, w gościnie u młodych Imhoffów. Siostra twa Judyta budzi ogólne zainteresowanie. Malują ją malarze, rzeźbią rzeźbiarze, opiewają poeci. Ale ona sięga aspiracjami wyżej. Chce koniecznie małej, dziewięciopałkowej korony na bieliznę, liberję i cztery swe auta, toteż oczkuje z każdym kto idzie na dwór, lub zeń wraca. Natomiast poczciwy Feliks, zapalony demokrata, otacza się przedsiębiorcami, spekulantami, badaczami bieguna i podróżującymi po Afryce, oraz artystami obu pici. Dom jest wobec tego mieszaniną Guildhallu, giełdy, zgromadzenia rabulistów i Jockey-klubu. Pewnego wieczoru przyglądałem się temu przez chwilę, potem zaciągnąłem w cichy kącik, śliczną panienkę, prosząc by zbadała mój puls.

Stało się tak i cierpiąca dusza doznała ulgi.

Słyszę, że nasz słodki Ariel wprawia w nastrój szampański Polaków w Warszawie i Moskali w Moskwie. W tem ostatniem mieście urządzili jej podobno studenci pochód z pochodniami i mimo mrozu i śniegu wysłali różami drogę od mieszkania do teatru. Słyszałem także, iż W. Książe Cyryl Aleksandrowicz, wielki

mężobójca, jak go lam zowią, oszalał napoły z miłości dla niej i przewraca wszystko do góry nogami, by ją pochwycić. Pamiętasz jak woła królowa w Hamlecie: — Dość tego, dość! Miłość lak wielka może być jeno zdradą! — Z niesłychanym smutkiem wspominam, o Arjelu, że ongiś i mnie także owiało tchnienie twoje, Tylko tchnienie, ale dość mi lego. Le moulin n'y est plus, mais le vent y est encore.

Na tem kończę i polecam cię Bogu drogi bracie, którego nieobecność odczuwam boleśnie. Dajże znak życia twemu stęsknionemu Bernardowi, Gerwazemu C. v. W.

Skończywszy czytać, odłożył Krystjan, z uśmiechem, list na stronę.

14.

Krystjan i Amadeusz spotkali się niespodzianie na grzbiecie wzgórza ponad wsią.

— Przez cały tydzień czekałem na pana! — rzekł Voss.

— Miałem zamiar przyjść dziś właśnie! — odparł.— Może pójdziemy razem.

Amadeusz zawrócił i poszedł z Krystjanem. Dotarli do szczytu i ruszyli w stronę lasu. Kroczyli obok siebie w milczeniu. Słońce świeciło poprzez gałęzie, nastała odwilż, resztki śniegu leżały na zeschłych liściach, ślizko było pod nogami, a gościńcem spływała woda w głębokich koleinach. Gdy wyszli z lasu, spostrzegli, że słońce zachodzi, nieboskłon był zielono różowy, a w pobliżu domów Heftrichu zaszedł ich mrok. Przez cały czas nic zamienili ze sobą słowa. Z początku nie mógł Voss dotrzymywać kroku Krystjanowi. Mając krótsze nogi, musiał od czasu do czasu drepcić spiesznie, potem jednak ustalił się rytm, przypominający brzmienie słów rozmowy.

— Jestem głodny! — rzekł w końcu Amadeusz. — Tam widzę gospodę, wejdźmy.

Weszli do izby, która była pusta i siedli za stołem, w pobliżu pieca, gdyż na dworze oziębiło się znowu. Służąca zaświeciła lampę i przyniosła to co zamówili. Krystjana ogarnął strach, płoszący nawet ciekawość. — Cóż się teraz stanie? — myślał i patrzył z uwagą na Amadeusza.

— Niedawno czytałem w starej książce budującą opowieść! — zaczął Voss, wykluwając sobie zapałką zęby, co wprawiło

Krystjana w nerwowe drżenie. — Oto pewien król zauważył, że w państwie jego coraz to bardziej pogarszają się ludzie i stosunki. Spytał czterech filozofów o powód. Po naradzie, udali się filozofowie do czterech bram miasta i każdy wypisał na swej bramie przyczynę zła. Pierwszy oświadczył: — Siła tutaj rządzi

i dlatego kraj nie posiada praw, dzień jest nocą i dlatego niema w kraju dróg, walka staje się ucieczką i dlatego honor w tym kraju nie istnieje.

Drugi napisał: — Jedno równa się dwom i dlatego niema w kraju prawdy, przyjaciel jest wrogiem i dlatego brak w kraju wierności, złe jest dobrem i dlatego niema w kraju nabożności.

Trzeci napisał: — Ślimak chce być orłem, a złodzieje dzierżą władzę.

Czwarty wreszcie napisał: — Wola jest waszym doradcą, ale źle radzi. Obłudnik feruje wyrok i dlatego rządy są złe. Bóg zmarł i dlatego kraj roi się od grzechów.

Rzucił zapałkę i wsparł głowę na dłoni.

— W tejsamej książce znajduje się druga jeszcze opowieść! — ciągnął dalej. — Może pan wyczuje związek. Pośrodku Rzymu rozwarła się pewnego dnia ziemia i ujrzano przepastną otchłań. Zapylani o sprawę bogowie orzekli, że przepaść zawrze się zaraz gdy ktoś w nią skoczy dobrowolnie. Nikt nie miał ochoty, lecz w końcu znalazł się pewien młodzieniec, który przyrzekł skoczyć w przepaść dobrowolnie i radośnie, pod warunkiem, że wpierw przez cały rok będzie mu wolno żyć wedle upodobania. Postanowiono zaraz, że mu będzie dozwolone wszystko co zechce, on zaś korzystał z pełną swobodą i wedle zachceń z majątku i kobiet współobywateli. Oni, wyczekiwali z utęsknieniem chwili, w której go się pozbędą. Gdy minął rok, młodzieniec przyjechał istotnie na szlachetnym rumaku i skoczył w otchłań, która się za nim

zaraz zawarła.

Krystjan wzruszył ramionami.

— Cóż to ma znaczyć? — spylał niechętnie. — Czyż chcesz mnie pan karmić staremi opowieściami? Nie rozumiem tego wcale.

— Jest pan ciężki w myśleniu! — zauważył Voss i zaśmiał się do siebie. — Duch tępy. Czyż nie miałeś pan ochoty skryć się w parabolę? Jest to kojący lek, wszakże.

— Nie wiem co pan masz na myśli! — powiedział Krystjan, a Amadeusz zaśmiał się znowu zcicha.

— Chodźmy! — oświadczył Krystjan, wstając.

— Dobrze, chodźmy! — zgodził się Voss, robiąc złośliwą minę.

Wyszli.

15.

Cichą, bezwietrzną nocą, pod chłodnem lśnieniem gwiazd opuścili wieś. Żaden

odgłos nie mącił ciszy.

— Jak długo byłeś pan u Ribbecków? — spytał nagle Krystjan.

— Dziewięć miesięcy! — odrzekł Amadeusz. — Gdym przybył do Halbertsroda wszystko pokrywał śnieg i zamróz i taksamo było gdym wyjeżdżał. Czasu mego pobytu minęła wiosna, lalo i jesień.

Przystanął, spoglądając za jakiemś zwierzątkiem, które w ciemku przekroczyło ścieżkę i znikło w bruździe zagonu. Potem zaczął mówić, zrazu głosem urywanym, twardym, potem żywo, porywczo, w końcu zaś brakło mu oddechu.

Zboczyli z drogi nie zauważywszy lego. Było już późno, oni jednak nie myśleli o godzinie.

Voss opowiadał:

— Nie widziałem nigdy jeszcze takiego domu. Dywany, obrazy, obicia, srebra stołowe, liczna służba, wszystko to było mi nowością. Nie jadałem nigdy takich potraw, nie spałem w lakiem łóżku. Przybyłem z pośród czterech nagich ścian, gdzie się mieściła jeno półka z książkami i krucyfiks.

Chłopcy mieli jednaście i trzynaście lat. Starszy był jasnowłosy, smukły, młodszy czarny i przysadkowaty. Włosy spływały im jak grzywy, aż na ramiona. Od pierwszej chwili stawili urągliwy opór. Radczyni z początku nie widywałem wcale, dopiero po tygodniu wezwała mnie. Czyniła wrażenie młodej dziewczyny. Miała rdzawe włosy i bladą, onieśmieloną, nierozwiniętą twarz. Traktowała mnie z lekceważeniem, na które nie byłem przygotowany i krew uderzyła mi do głowy. Jadałem osobno, nie przy wspólnym stole, a służba obchodziła się ze mną jak z kolegą. Gryzło mnie to bardzo. Gdym, spotkawszy radczynię w ogrodzie składał ukłon, zaledwo raczyła odpowiedzieć, nieświadomie i bezczelnie zarazem gardząc człowiekiem, którego opłacała. Byłem dla niej niczem.

Taką jest zbrodnia popełniania od całych pokoleń na duszy mojej. O wy, którzy krzywdzicie duszę moją, czemuż skazaliście mnie na niedostatek? Czemuż mi zbrakło wszystkiego, podczas gdy wy żyjecie w przesycie? Jakże może człowiek głodny wytrzymać próbę, narzuconą mu przez kusiciela we własnej osobie? Nie sądź pan, że rozrzutność wasza przemija bez echa. Każdy czyn, zły, czy dobry tętni w całej naturze. Gdy winograd na Maderze zakwita ponownie, daleko za górami i lasami, wino w beczkach, zeń wyciśnięte porusza się i zaczyna fermentować raz jeszcze.

Pewnego dnia chłopcy zamknęli się w swoim pokoju i odmówili przybycia na lekcję. Targałem klamkę, oni zaś przedrzeźniali mi się wewnątrz. W kurytarzu

służba śmiała się z mej niemocy. Poszedłem do ogrodnika, wziąłem siekierę i trzema ciosami przerąbałem wkładkę. Za chwilę byłem w pokoju. Chłopcy spoglądali ze zdumieniem, zrozumiawszy na koniec, że ze mną żartować nie można. Łoskot zwabił radczynię. Objęła spojrzeniem zrąbane drzwi, potem zaś mnie. Wzroku tego nie zapomnę nigdy. Nie spuszczała mnie z oczu przynajmniej przez dziesięć minut, podczas gdy mówiłem do jej synów.

— Na cóż się ważysz? Któż jesteś? — pytała bezgłośnie. Zobaczywszy pod drzwiami siekierę, przystanęła na chwilę i widziałem, że ją przejął dreszcz. Miałem świadomość, że chorągiewka na dachu zmieniła kierunek, a jednocześnie jasnem mi było, że mam przed sobą kobietę.

Nie położyło to końca znęcań się wychowanków moich. Przeciwnie, dokuczali mi co wlazło. Postępowali teraz tajemnie i przychwycić ich nie mogłem. Znajdywałem w łóżku kamienie i szpilki, plamy atramentowe w książkach, oraz rozdarli mi w sposób nieuleczalny najlepsze ubranie, jakie ze sobą przywiozłem. Szydzili ze mnie przy innych, miotali na mnie oszczerstwa wobec matki i spozierali na mnie wyzywająco, gdym ich t karcił. Nie były to zwyczajne figle głupich wyrostków. Byli oni bardzo wydelikaceni, rafinowani. Unikali przeciągu, kazali palić w pokojach tak, że się w głowie mąciło i mieli na myśli jeno własne wygody. Pewnego dnia pobili się i młodszy ukąsił starszego w palec. Poszkodowany legł na trzy dni do łóżka i zawezwano lekarza. I tutaj nie odgrywała głównej roli wrażliwość na ból, ale niezgłębiona złośliwość i żądza zemsty.

Traktowali mnie jako istotę daleko niższą od siebie i przy każdej sposobności dawali odczuwać zależność l swoją. Nieraz gorzko mi było, ale postanowiłem ćwiczyć się w cierpliwości.

Pewnego wieczoru, po godzinie wyznaczonej chłopcom, by szli spać, wszedłem do salonu. Radczyni siedziała na otomanie, a chłopcy przykucnęli po obu stronach matki, która im pokazywała obrazki w książce. Miała włosy rozpuszczone, co uznałem za niewłaściwe, a rudawa la fala okrywała ją, wraz z chłopcami jakby płaszczem z brokatu. Chłopcy wlepili we mnie złe, zielone oczy. Rozkazałem im, by natychmiast szli spać. Było w moim głosie coś, co ich przeraziło, zmuszając do posłuszeństwa. Wsiali bez oporu i wyszli.

Adelina została na otomanie. Będę ja zwał poprostu Adeliną, co czyniłem zresztą w późniejszych naszych stosunkach. Patrzyła na mnie taksamo jak w czasie sceny z siekierą. Nie sposób być chyba bledszym jak ona była zawsze, teraz zaś skóra jej nabrała przejrzystości i połysku łyszczyku. Wstała, podeszła do

stołu, wzięła jakiś przedmiot i położyła go z powrotem. Miała na ustach drwiący uśmiech, który mnie przeniknął nawskróś. Cała ona zresztą przeniknęła mnie. Pan pewnie weźmie to opacznie, ale mniejsza. Jeśli pan nie zrozumie, na nic wszelkie objaśnienia. Zapadła się nademną skorupa i zobaczyłem co było powyż niej.

— Wierzę i rozumiem pana! — rzekł Krystjan.

— Zapytałem, czy życzy sobie może, bym jej dom opuścił. Ona odparła lodowało, że zaangażował mnie radca, przeto musi mu być powolną. Przedstawiłem, że wobec jej niechęci, nie mogę działać korzystnie i dać rezultatów. Spojrzawszy z pod oka powiedziała, że niezawodnie znajdzie się jakiś sposób wspólnej akcji, nad czem pomyśli.

Od tego czasu począwszy, jadałem przy wspólnym stole z nią i chłopcami, ona zaś traktowała mnie chociaż bez życzliwości, jednak z szacunkiem.

Pewnego dnia, późną porą wezwała mnie do siebie, prosząc, bym jej poczytał. Podała mi jakiś modny romans, ja zaś przeczytawszy stron kilka, odrzuciłem książkę, oświadczając, że brednie takie nużą mnie. Skinęła głową, mówiąc, że wyjawiam jasno odczucie, którego sobie uświadomić dotąd nie śmiała i złożyła mi podziękę za szczerość. Dobyłem Biblji i przeczytałem historję Samsona z Księgi Sędziów. Musiałem jej się wydać naiwnym, gdyż skończywszy, dostrzegłem tensam drwiący uśmiech. Potem spytała: — Wszakże nie Trzeba być bohaterem judzkim, by podzielić los Samsona, nieprawdaż? Czyż to co uczyniła Dalila jest tak trudną sztuczką? — Odparłem, że w tych sprawach brak mi doświadczenia, a ona roześmiała się.

W toku rozmowy, posunąłem się do zarzutu, że zaniedbuje dzieci swoje oraz przedstawiłem marność tego wszystkiego com dotąd widział w jej domu, a także obrażający ton postępowania. Z rozmysłem używałem słów ostrych, pewny, że się zerwie gniewna i pokaże mi drzwi, ona jednak siedziała spokojnie, prosząc, bym ją wtajemniczył w zapatrywania swoje. Uczyniłem, zapalając się coraz bardziej, a Adelina słuchała łaskawie. Kilka razy oddychała głęboko, przeciągała się zlekka, przymykała oczy, spierała się ze mną, godziła, broniła swej pozycji, a w końcu złożyła broń.

Powiedziałem jej, że la rzekoma miłość dla synów jest właściwie nienawiścią, a tłem jej jest samozatrucie krwi, kłamstwem. W duszy jej tkwi inne jeszcze życie i inna miłość, którym pozwala zbrodniczo schnąć i obumierać. Nie zrozumiała tego widocznie jak należy, gdyż spojrzała ze zdumieniem, i kazała odejść. Stojąc już przy drzwiach, usłyszałem łkanie, zwróciłem się wstecz. Siedziała ukrywszy twarz

w dłoniach. Postąpiłem w jej stronę, ale gestem porywczym rozkazała, bym szedł. Wyszedłem tedy.

Nigdy przedtem, prócz matki, nie widziałem płaczącej kobiety. Przemilczę to com czuł. Inaczej pewnie postąpiłbym i miałbym inne wrażenia, gdybym się był wychowywał z siostrą.

Adelina była pierwszą kobietą, z którą stanąłem oko w oko.

W kilka dni później, spytała, czy mam nadzieję z synów jej uczynić ludzi wedle myśli mojej. Rozważyła wszystko com jej przedstawił i doszła do przekonania, że tak dalej być nie może. Odpowiedziałem, że jeszcze nie wszystko przepadło, ona zaś prosiła, bym ratował co się da, nie chcąc mi zaś przeszkadzać w działaniu postanowiła wyjechać na kilka miesięcy. Trzeciego dnia wyjechała istotnie bez pożegnania, a tylko z Drezna napisała do nich.

Przeniosłem się z wychowańcami do pałacyku myśliwskiego w lesie, o dwie godziny drogi od Halbertsrody. Stanowił on część posiadłości Ribbecków i Adelina przeznaczyła mi go na schronisko. Urządziłem się tam i wziąłem chłopców w ryzy. Przedsięwzięcie swe uznałem za próbę siły serca i rozumu. Chybiłem może, oślepiony długim pobytem w ciemni, pod lodową skorupą, a może uwiodła mnie owa siekiera. Często drżałem wspominając słowa: — Czemuż ciągle zmieniasz drogę swoją? Zaprawdę, oszuka cię Egipcjanin, jak cię już oszukał Asyryjczyk.

Gotował dla nas stary, głuchy służący, a przysmaczki znikły zupełnie ze stołu. Chłopcy musieli modlić się, raz w tygodniu pościć, spać na twardem łożu i wstawać o piątej rano. Złamałem ich upór, używając rozmaitych sposobów, zwalczyłem tępe lenistwo, pożądliwość i chytrostki. Nie było mowy o zabawie, dzień miał porządek żelazny, a nie cofałem się przed najsurowszymi środkami. Biłem ich za najlżejszym uporem, harapem. Poznali, co znaczy ból. Nieraz leżeli przedemną nadzy, pokryci krwawemi pręgami, ja zaś opowiadałem im o męczeństwie świętych. Prowadziłem dziennik, by Adelina mogła się przekonać o wszystkiem. Drżeli posłyszawszy głos mój zdala, lub gdym podniósł głowę. Raz zasiałem ich na szeptach, leżących razem w łóżku. Wyrwałem ich z poduszek, oni zaś w samych jeno koszulach uciekli w las. Biegłem za nimi, za mną dwa psy, a deszcz rzęsisty padał na wszystkich. W końcu padli na ziemię, objęli me kolana, błagając o łaskę. Najtrudniej przyszło mi wymusić zeznanie, ale silniejszym będąc, niż zło tkwiące w nich, dokonałem swego. Był to czas straszny, ale zniosłem wszystko, wierny przyrzeczeniu, danemu Adelinie.

Weszli w siebie, złagodnieli i zcichli. Siedząc po kątach płakiwali. Po powrocie

Adeliny zawiozłem ich do

Halbertsrody, a matka osłupiała, widząc zmianę. Rzucili się jej w objęcia, ale nie oskarżyli mnie, nawet gdy zostali sami z matką. Zagroziłem, że w razie nieposłuszeństwa zabiorę ich znowu do pałacyku myśliwskiego. Jeden lub dwa dni w tygodniu spędzaliśmy tam zresztą stale. Potem zaczęli unikać matki, a Adelina również zobojętniała dla nich. To co ich przedtem łączyło, owa zniewieściałość, przeczulenie i duszność atmosfery utraciły już moc swoją.

Adelina szukała mego towarzystwa, rozmowy, obserwowała, była łaskawa, znużona, roztargniona i niespokojna. Stroiła się, jak do gości i fryzowała po trzy razy na dzień. Pozatem ulegała wszystkim zarządzeniom moim. Istnieją ludzie zużyci, robaczywi, dusze opuchłe, a ci gotowi zawsze paść na kolana przed siekierą w czyichś rękach, podczas gdy kpią z lego, kto do stóp im pada. Nieraz przerażał mnie jej wykwint i tajemniczość. Myślałem nieraz, że niema lu dla mnie miejsca, ale nagły błysk jej oczu kazał mi zapomnieć skąd przybyłem i czem dla niej jestem. Była na wszystko, zda się, gotowa. Mogła pewnej nocy podpalić dom, gdzie się nudziła, a raka moralnego, który toczył istotę jej powstrzymać nie mogło żadne szlachetniejsze uczucie. Mogła od południa do wieczora śledzić przed lustrem, pogłębiającą się zmarszczkę na czole. Wszystko było możliwe. Wszakże napisano: — Nikt nie wic co jest w człowieku, jeno duch, który w nim jest.

Kuszenie moje zaczęło się od tego, że co wieczora, podczas rozmowy kładła, niby bezwiednie, dłoń swą na mojej, cofając zaraz spiesznie. Wówczas traciłem świadomość najbliższego otoczenia. Stałem się niewolnikiem urojeń i żądz, które przerywały tok moich myśli.

Wezwała mnie, bym jej opowiedział swe życie, a ja, nieopatrzny, uczyniłem to.

Raz spotkałem ją o zmroku w sieni. Przystanęła, przeszywając mnie spojrzeniem. Potem zaśmiała się zcicha i poszła dalej. Nogi się podemną ugięły, a pot wystąpił na czoło.

Ciężko mi było w samotności. Jakieś zjawy płomieniem napełniały dom. Ginęły mi gdzieś książki do nabożeństwa i różaniec, tak że odnaleźć ich nie mogłem. Wołało we mnie nieustannie: — Raz tylko! Raz tylko zażyć rozkoszy! Raz jeden! — Zaraz jednak zjawiały się demony i zaczęły dręczyć, szarpiąc mięśnie, żyły i nerwy. — Czyńcie ze mną, na co Bóg zezwolił! — mówiłem im. — Serce moje gotowe! — Rzucało mną w czasie snu i uderzałem bezwiednie głową o ściany.

Przez tydzień pościłem o chlebie i wodzie, ale to nie pomogło. Raz usiadłem do czytania. Nagle spostrzegłem obok siebie olbrzymia małpę, która przewracała

kartki mojej książki. Co noc jawiła mi się Adelina w kuszącej postaci. Przystępując do łóżka, mówiła: — Przyszłam do ciebie, kochanku mój! — Wyskakiwałem z łóżka, biegając wokoło, ona jednak podążała za mną, szepcąc: — Uczynię cię bogaczem, zasypię pieniądzmi. Gdym ją zaś chwytał, okazywała wstręt i zaraz nadpływały wezwane na pomoc cienie, jakiś notarjusz z piórem i kałamarzem, ślusarz z rozpalonym do czerwoności młotem, murarz z kielnią, oficer z lśniącą szablą i uszminkowana kobieta.

Było ze mną tak źle, że zwolna dopiero wróciła mi zdolność zrozumienia strasznej rzeczywistości, jaka zaszła w tym czasie.

Pewnego ranka siedziałem z chłopcami przy lekcji. Adelina weszła do pokoju, usiadła i słuchała przez chwilę. Potem zdjęła z palca pierścień z wielką perłą, igrała z nim czas jakiś zadumana, przystąpiła do okna, przyjrzała się padającemu śniegowi i wyszła do ogrodu. Zbrakło mi tchu, nic nie widziałem, uczułem wielki ucisk na piersiach, co wszystko razem spowodowało, żem wyszedł na chwilę, dla zaczerpnięcia powietrza.

Za powrotem, spostrzegłem w oczach wychowańców nader złośliwe błyski. Nie zważałem na to, bowiem nieraz buntowali się przeciwko mnie. Siedząc skuleni odpowiadali na pytania z katechizmu trwożliwym szeptem. Po dziesięciu może minutach wróciła Adelina i spytała, czym nie widział, zostawionego przez nią pierścionka. Zaprzeczyłem, ona zaś zaczęła szukać, a ja z nią. Przywołała pokojówkę i lokaja, przetrząśnięto cały pokój, ale pierścionek przepadł. Adelina i służba patrzyli na mnie ze zdziwieniem, gdyż stałem nic mogąc wykonać ruchu. Odczułem zaraz wszystkiemi nerwami, że na mnie pada podejrzenie. Szukano w sieni, na schodach, potem w ogrodzie, na świeżym śniegu i znowu w pokoju, gdyż Adelina twierdziła stanowczo, że zdjęła pierścień i zapomniała na stole.

Potwierdzałem to, mimo żem pierścienia na stole nie widział, a wszystko co czyniła było mi pół snem jeno. Słowa, jakie zamieniała ze służbą, wydały mi się skierowane przeciw mnie, w ich minach czytałem podejrzenie, pobladłem, poczerwieniałem i kazałem wrócić chłopcom, których zrazu odprawiłem, biorąc ich na spytki.

Powiedzieli, że należy szukać w ich pokoju i patrzyli mi w oczy urągliwie. Poprosiłem Adelinę, by kazała przetrząsnąć także i mój pokój. Uczyniła gest odmowny, zaraz jednak wspomniała, na swe usprawiedliwienie, że pierścień ten ma dla niej wyjątkową wartość i nie chciałaby go utracić. Tymczasem wszedł do pokoju zarządca dóbr, który przypadkowo nocował w Halbertsroda, i nie oddawszy

mi ukłonu mierzył mnie w milczeniu ponuremi oczyma.

Zatrzęsło się we mnie wszystko, widziałem, że jestem bezbronny wobec podejrzenia i powiedziałem sobie: — A może istotnie skradłeś pierścionek. Upadek ze stanu poprzedniego w obecny nikczemny i szkaradny, nastąpił tak niespodzianie, że wybuchnąłem śmiechem i jąłem usilnie nalegać, by przeszukano mój pokój, rzeczy i mnie samego.

Zawiadowca dóbr poszeptał coś z Adeliną. Spojrzała nań pół przytomnie i wyszła. Opróżniłem wobec zawiadowcy kieszenie, polem ruszyłem z nim do mego pokoju. Usiadłem przy oknie, on zaś wyciągał szuflady komody jedną po drugiej, potem otworzył szafę. Pokojówka, lokaj i chłopcy siali pode drzwiami. Nagle wydal zawiadowca głuchy okrzyk i podniósł pierścionek z perłą. Na chwilę przedtem wiedziałem całkiem jasno, że pierścionek znajdą u mnie. Wyczytałem to wyraźnie z twarzy chłopców. Dlatego też nie ruszyłem się z miejsca, wszyscy zaś spoglądali po sobie, a potem wyszli.

Zaryglowałem niezwłocznie drzwi i przez dwadzieścia cztery godziny chodziłem tam i z powrotem po pokoju. O świcie uczułem uroczysty spokój w duszy. Poleciłem, by spytano Adelinę, czy mogę z nią pomówić. Nie przyjęła mnie, a listownie usprawiedliwienie ubliżałoby mi. Byłem całkiem czysty i chłodny. Zawiadowca, jak się dnia tego dowiedziałem, rozgłosił już poprzednio, że katuję niemiłosiernie chłopców, którzy mnie obwiniają o cudzołożny stosunek z matką.

Przyjeżdżał on kilka razy potajemnie, wypytywał służbę, a rano w dniu kradzieży pierścionka zaprowadził chłopców do pokoju gościnnego, kazał im się rozebrać i spostrzegł dawne i nowe ślady mego harapa. Ponieważ także inne objawy u chłopców wzbudziły jego troskę, przeto zatelegrafował do radcy, a on przybył nocą z urzędnikiem policji. Przypuszczam, że Adelina przewidziała zamach z pierścionkiem, gdyż nie było już o tem mowy. Urzędnik napadł na mnie ostro, mówił o złych skutkach, ja atoli nie uczyniłem żadnego wysiłku, by się usprawiedliwiać, czy wyjaśniać cokolwiek. Późną nocą opuściłem Halberlsrodę. Nigdy już nie widziałem Adeliny. Podobno ją umieszczono w lecznicy. Po trzech tygodniach otrzymałem pocztą małe pudełeczko i znalazłem w niem pierścionek z perłą. W podwórzu leśniczówki jest stara studnia z wiadrem. Rzuciłem w nią pierścionek.

Tak, teraz wiesz pan co zaszło tam, w wysokich sferach, w pałacu tajnego radcy Ribbecka.

16.

Szli przez chwilę jeszcze, zanim stanęli u bramy parkowej Christiansruh. W chwili, kiedy Voss chciał się żegnać, powiedział Krystjan:

— Pan pewnie znużony, pocóż tedy iść aż do wsi. Przenocuj pan u mnie.

— Jeśli panu nie sprawię kłopotu, przyjmuję! — odrzekł Amadeusz.

Weszli do domu, do oświetlonej hali, a Voss spoglądał wokoło ze zdumieniem. Schodami dostali się do jadalni w stylu Ludwika XV. Krystjan poprowadził gościa przez różne jeszcze komnaty do pokoju dlań przeznaczonego. Za każdym krokiem wzrastał podziw Amadeusza.

— To całkiem co innego, niż Halbertsroda! — mruczał do siebie. — Różnica jak pomiędzy świętem, a dniem powszednim. Siedzieli przez chwilę u stołu, milcząc, potem przesli do bibljoleki. Lokaj podał czarna kawę na srebrnej tacy.

Voss stał oparły o filar, wtopiwszy spojrzenie w przestrzeń.

Gdy lokaj odszedł, spylał:

— Słyszałeś pan może o zarazie telchińskiej? Jest to choroba wylęgła z zazdrości Telchinów, psów Akteona przemienionych w ludzi, a zwraca się ona złowrogo przeciw całemu otoczeniu. Pewien młodzieniec Eulelides, zazdrosnem spojrzeniem obaczył w źródle własną swą piękność i zwiądł niebawem skutkiem lej choroby.

Krystjan siedział cicho, zapatrzony przed siebie.

— Istnieje legenda o pewnym szlachcicu polskim — ciągnął

Amadeusz dalej. — Mieszkał on w białem dworzyszczu nad Wisłą, a wszyscy sąsiedzi unikali go, bowiem zazdrosne spojrzenie jego sprowadzało nieszczęścia, porażał trzody, podpalał stodoły, a dzieci okrywał trądem. Pewnego dnia, uciekająca przed wilkami, piękna dziewczyna schroniła się do białego dworzyszcza. Zakochany w niej szlachcic, pojął ją za żonę, by zaś nie uległa urocznemu jego spojrzeniu, wyłupił sobie oczy. Zmieniły się one w lśniące kryształy, a on zakopał je pod murem ogrodowym. Ale i pod ziemią nie utraciły swej mocy, a służący, który je odkopał z chciwości, został zabiły.

Siedzący w niskim fotelu Krystjan objął ramionami kolana i spoglądał na Vossa.

— Trzeba od czasu do czasu rozgrzeszyć oczy! — powiedział Amadeusz. — Niedaleko stąd, w Nettersheim leży na łożu śmierci dziewczyna. Jest niesłychanie biedna i opuszczona. Leży w stajni za zagrodą, a chłopi nie wierząc w jej ciężki stan sądzą, że nie chce pracować.

Milczeli długo, gdy zaś zegar w wysokiej, gotyckiej szafie wydzwonił północ,

każdy udał się do swego pokoju.

17.

Powolny wezwaniu ojca, udał się Krystjan do Wurzburga.

Powitanie było ze stron obu bardzo uprzejme.

— Spodziewam się, że ci nie przeszkodziłem w czemś? — rzekł Albrecht Wahnschaffe.

— Jestem do twej dyspozycji, ojcze! — odparł Krystjan chłodno.

Odbyli przechadzkę po wałach miejskich, mówiąc atoli nie wiele ze sobą. Freja, piękna dobermanka, nieodstępna towarzyszka Albrechta, drepciła pomiędzy nimi. Ojciec zauważył ze zdziwieniem wnętrzną zmianę w rysach syna.

Wieczór, przy herbacie, uczynił Albrecht gest rycerski i rzekł:

— Muszę ci powinszować niezwykłego nabytku. Cały wieniec legend owiewa ten klejnot. Sprawa narobiła rozgłosu, wszyscy się dziwią i to słusznie, nie jesteś bowiem chyba angielskim książęciom, ni też hinduskim następcą tronu. Czy djament len jest istotnie tak godnym pożądania?

— Niezrównany to okaz! — zaręczył Krystjan i nagle przyszły mu na myśl słowa Vossa: — Trzeba od czasu do czasu rozgrzeszyć oczy.

Albrecht Wahnschaffe skinął głową.

— To dobrze, — powiedział — rozumiem tego rodzaju pasje, chociaż, jako kupiec pochwalać nie mogę unieruchomienia tak znacznego kapitału. To ekscentryczność, a nam, ludziom sianu średniego nie wolno być ekscentrycznymi, bez zachwiania porządku świata. Chcę ci poddać do rozwagi rzecz pewną. Wszystkie twe przywileje, a są niemałe, sądzę, wszystkie ułatwienia życia, możność zaspokajania zachcianek, czy namiętności, oraz szczytowe stanowisko społeczne, jakie zajmujesz, wszystko to jest owocem pracy... nie potrzebuję, chyba dodawać... owocem pracy ojca twego.

Leżąca w kącie pokoju suka Freja wsiała, podeszła do Krystjana i położyła mu przymilnie łeb na kolanie. Pod wrażeniem lekkiej zazdrości, dał jej Albrecht klapsa w bok, potem zaś ciągnął dalej:

— Taka miara pracy oznacza naturalnie wyrzeczenie się wszystkiego innego. Jest się pługiem, który kraje ziemię, a nie rdzewieje. Jest się drzewem, które daje płomień i zostaje strawione. Małżeństwo, rodzina, przyjaźń, sztuka, natura, nie istnieją dla mnie niemal. Spędziłem życie, jak górnik w swym szybie. I cóżem zyskał? Oszuści ludowi karmią masy bajką bezczelną, że my to właśnie jesteśmy

wampirami, pijącymi krew uciskanych. Ci zatruwacze studzien nie znają, lub znać nie chcą wstrząśnień, cierpień i braków naszych, o których spokojny niewolnik zarobku nic ma pojęcia.

Freja przytuliła się bardziej jeszcze do Krystjana, polizała mu rękę i wzniosła oczy, błagając kornie o spojrzenie. Ta milcząca tkliwość zwierzęcia była mu miłą. Zmarszczył czoło i rzekł lakonicznie:

— Jeśli tak jest i tak czujesz, ojcze, pocóż pracować masz dalej?

— Istnieje, o ty leżący na puchu, istnieje przywiązanie do rzeczy i wierność! — powiedział Albrecht Wahnschaffe, a jego blado niebieskie oczy zabłysły gniewnie. — Byłe chłop przywiązany jest do zagona, który uprawia w pocie czoła. Gdym rozpoczynał, kraj nasz był biedny, teraz jest bogaty. Nie powiem, że osobista działalność moja stanowi dużą wartość w stosunku do całości, w każdym jednak razie musi być objęta rachunkiem. Jest ona przejawem naszego rozwoju, młodocianej siły i powodzenia gospodarczego. Teraz zaliczamy się do narodów wielkich i mamy własną posiać, oraz wyraz twarzy.

— Słuszne jest wszystko, coś powiedział, ojcze, — odparł Krystjan — ja jednak nie rozumiem lego. Pod tym względem jestem wybitnie źle zorganizowany.

— Przed dwudziestu pięciu laty — ciągnął dalej Albrecht, nie zważając na uwagę syna — przypadłby ci był los zarabiania na życie. Dziś jesteś potomkiem i dziedzicem moim. Pokolenie twe ma przed sobą świat i czas odmienny. Przypięliśmy wam skrzydła do ramion, wy zaś zapomnieliście, jak ciężko jest pełzać po ziemi.

Czując, instynktowną potrzebę czegoś ciepłego, ujął Krystjan w dłonie głowę suki, która mruknęła z zadowolenia i sparła mu łapy o ramię. Z uśmiechem, jakby szło o zabawę z Freją, rzekł Krystjan:

— Nikt nie gardzi tem, co mu spadnie w darze. Nie pytałem, coprawda nigdy, skąd się to bierze i jaki ma cel. Oczywiście można także inaczej żyć. Może i ja będę kiedyś żył inaczej. Pokazałoby się wówczas, czy człowiek zmienia swą istotę, gdy mu zbraknie środków pomocniczych, owych skrzydeł, o których mówiłeś ojcze! — w tej chwili miał poważny wyraz twarzy.

Albrecht Wahnschaffe czuł się mocno zakłopotany wobec tego pięknego, dumnego, a zgoła obcego człowieka, który był synem jego. Chcąc to ukryć odparł szorstko:

— Żyć inaczej! Otóż to właśnie mam na myśli. W przekonaniu, że znużysz się rychło temi wszystkiemi nicościami, postanowiłem zaproponować ci karjerę,

odpowiadającą godnie siłom twym i zaletom. Cóż sądzisz o dyplomacji? Wolfgang czuje się bardzo zadowolony z możliwości jakie ona otwiera. I dla ciebie nie zapóźno jeszcze. Czas stracony powetować można. Nazwisko twe dorównuje tytułowi arystokraty. Pozostaniesz w odpowiedniej sferze, reszty zaś dokonają automatycznie wielkie środki twoje, uzdolnienie osobiste i niesłychane stosunki.

Krystjan potrząsnął głową.

— Mylisz się, ojcze! — rzekł zcicha, ale stanowczo.— Nie mam w tym kierunku żadnych zdolności, ani leż najmniejszej ochoty.

— Przypuszczałem to! — powiedział Albrecht żywo. — Dajmy tedy pokój. Drugim projektem, dla mnie sympatyczniejszym zresztą, jest byś się jął pracy we firmie. Chcę stworzyć dla ciebie stanowisko reprezentatywne w służbie wewnętrznej, lub zewnętrznej. Jeśli obierzesz to ostatnie, możesz zamieszkać za granicą n. p. w Japonji, albo Ameryce. Rozległe pełnomocnictwa pozwolą ci na niezawisłość. Weźmiesz odpowiedzialność zgoła nie ciążącą, a będą ci przysługiwać przywileje posła. Zgódź się tylko, a resztę sam załatwię.

Krystjan wstał.

— Ojcze, proszę cię serdecznie, porzuć len lemat! — powiedział chłodno, spuszczając oczy.

Albrecht Wahnschaffe wstał także.

— Nie czyń zbyt porywczych postanowień! — napomniał syna. — Nie taję wcale, że dotknęłaby mnie twoja stanowcza odmowa. Liczyłem na ciebie! — spojrzał z mocą na milczącego syna.

Po chwili spytał:

— Kiedyżto byłeś we fabrycznych zakładach naszych?

— Zdaje się, przed trzema, czy czterema laty! — odrzekł Krystjan.

— Było to w czasie Zielonych Świąt, przed trzema laty, o ile się nie mylę! — oświadczył Albrecht Wahnschaffe, dumny potrosze ze swej, nieomylnej pamięci.— Wybraliście się, wraz z kuzynem Theo Friesenem na wycieczkę do Harzu, a Theo chciał zboczyć, by obejrzeć nasze instytucje humanitarne, które go zainteresowały. Ale niedługo popasaliście tam, pono.

— Nie. Przekonałem Thea, że droga przed nami daleka, ja zaś chciałem się dostać pod dach.

Przypomniał sobie wszystko dokładnie. Auto jechało zwolna w porze wieczornej, ulicami ogromnego miasta maszyn. Uległ życzeniu kuzyna, ale nagle

ogarnął go wstręt do lego świata utworzonego z dymu, kurzu, potu i żelaza. Nie chciał wysiąść i kazał szoferowi przyspieszyć tempo.

Usłyszał teraz ów śpiew piekielny, towarzyszący hukowi młotów i tętnieniu kół. Słyszał wyraźnie grzmoty, gwizdy, syki, krakanie i pukanie. Ujrzał mijające ich w przelocie kuźnie, walcownie, pompy, stalownie, miechy, piece topne, odlewarnie i kotłownie. Wszędzie tysiące uczernionych twarzy, ród podobny do ludzkiego, uczyniony z węgla, owiany białymi, lub czerwonymi błyskami. Księżyce elektryczne wisiały w powietrzu, wozy, podobne do karawanów wsiąkały w fioletowy mrok. Mieszkania, z pozoru dostatnie, a beznadziejnie smutne, łaźnie, czytelnie, domy zebrań, żłóbki, szpitale, przytułki dla niemowląt, sklepy, kościoły i kina. A wszystko miało cechę przymusu, niewolnictwa, tandety strojnej, szkaradnej, najszkaradniejszej pod słońcem, czegoś co groźne, a spętane i uszminkowane.

Kuzyn Friesen wydawał okrzyki podziwu, ale Krystjan odetchnął swobodnie dopiero na pustym gościńcu, gdy auto uciekało w panicznym strachu przed płomiennem widziadłem. — Nie byłeś już lam polem? — spytał Albrecht Wahnschaffe.

— Nie byłem.

Milcząc, stali naprzeciwko siebie. Albrecht chwycił Freję za obrożę i powiedział z wyraźnym wysiłkiem:

— Namyśl się dobrze. Masz czas. Nie nalegam, mogę zaczekać. Zważ okoliczności i wniknij w siebie, a dojdziesz do wniosku, że pragnę szczęścia twego. Nie odpowiadaj teraz, a

zawiadom mnie o postanowieniu swem dopiero po wszechstronnem rozważeniu sprawy.

— Czy mogę już odejść, ojcze? — spytał Krystjan. Albrecht Wahnschaffe skinął głową, a Krystjan skłonił się i wyszedł.

Na drugi dzień wyjechał do Christiansruh.

18.

W bocznej ulicy, najbardziej ożywionej części Buenos Aires stał dom rodziny Gunderamów. Kupili go rodzice Gotfryda Gunderama, przybywszy do Argentyny w połowie XIX wieku. Kosztował nie wiele, ale rozwój miasta zwiększył ogromnie wartość jego. Gotfryd Gunderam otrzymywał ponętne propozycje, nietylko od osób prywatnych, ale także od gminy, która chciała rozlatujący się dom zburzyć i wystawić olbrzymi, nowożytny hotel.

Ale Gotfryd Gunderam opierał się wszelakim pokusom, powtarzając:

— Nie wypuszczę z rąk domu, w którym zakończyła życia matka moja! Nie oddam go obcym, aż do ostatniego tchu.

Upór ten nie był przejawem miłości synowskiej, ale zabobonu, głuszącego samą nawet żądzę pieniędzy. Obawiał się, że matka wstanie z grobu i weźmie straszliwą pomstę za to, że sprzedał osiedle rodzinne i dał je zburzyć. Był przekonany, że od lego zawisło bogactwo, pomyślne zbiory i długie życie. Do domu lego nie wpuszczano niepowołanych, a synowie i krewni zwali go szyderczo Eskurialem. Gotfryd nie zważał na te kpiny i nawykł z czasem zwać zupełnie serjo swój dom Eskurialem.

Niedługo przed wyjazdem do Niemiec, wydarł Stefan podpitemu ojcu przyrzeczenie, iż dostanie Eskurial, gdy się ożeni. Wróciwszy z Letycją, był pewny swego. Chciał osiąść w Buenos Aires jako adwokat i zmurszała ruinę, przemienić w wygodną siedzibę.

Przypomniał ojcu obietnicę, ale Gotfryd zaprzeczył wręcz.

— Czy możesz mi to pokazać czarne na białem, czy nie? — powiedział, mrużąc oczy. — Czegóż tedy chcesz? Ładny z ciebie prawnik, skoro zamierzasz realizować pretensje nie pisane!

Stefan zmilczał, poprzestając na przypominaniu się ojcu od czasu do czasu, w sposób chłodny, melodyczny i spokojny.

Gotfryd mawiał: — Nie podoba mi się żona twoja. Jest nie na miejscu w naszem środowisku. Do djaska! Ciągle czyta książki! To delikatna laleczka bez rasy. Niech na tem poprzestanie co ma. Nie głupim sobie robić koszta z jej powodu. Drogi to żarcik przemienić Eskurial w eleganckie mieszkanie, a ja nie mam pieniędzy, nie mam wcale pieniędzy.

Stefan oceniał samą gotówkę ojca na cztery, do pięciu miljonów franków, toteż odpowiedział raz:

— Winien mi jesteś ojcze mą część dziedzictwa.

— Winienem ci cios pięścią w zęby! — odkrzyknął ze złością.

— Czy to ostatnie słowo twoje, ojcze?

— Nie prędko jeszcze wyrzeknę ostatnie słowo moje! — sierdził się starzec.— Zaczekasz na to jeszcze z dwanaście lat. Ale zawrzyjmy ugodę, gdyż lubię żyć w dobrych stosunkach z rodziną. Słuchaj tedy. Jeśli żona twa powije syna, dostaniesz Eskurial i ponadto pięćdziesiąt tysięcy pesos.

— Napisz mi to ojcze, bym miał czarne na białem.

Starzec zaśmiał się.

— Brawo! — wykrzyknął, mrużąc oczy. — Teraz jesteś mądry prawnik. Nie nadaremnie, widzę, przestudjowałeś tysiące.

Z przedziwną gotowością usiadł do biurka i napisał żądane oświadczenie.

W kilka tygodni polem powiedział Stefan Letycji: — Pojedziemy dziś do miasta, pokażę ci Eskurial.

Jedyną mieszkanką Eskurialu była dziewięćdziesięcioletnia mulatka i Trzeba było rzucać kamieniami w szyby, aby ją wywabić z nory. Była koślawa, napół ślepa, okryła łachmanami i miała wielki, żółty guz na czole.

Przed stu laty miała ulica poziom o metr niższy. Toteż do bramy przystawiono drabinę i po niej musieli wejść oboje. Wewnątrz wszystko było zgnite i zbutwiałe zarówno meble, jak podłogi. Tapety zwisały strzępami ze ścian, szyby były porozbijane, a kominki zawaliły się.

Ale w sypialni matki, gdzie zmarła, stal stół z piękną intursją, stary zabytek z sieneńskiego klasztoru. Widniały tam dwa aniołki z pochylonemi ku sobie gałęźmi palmowemi, a pomiędzy nimi siedział skulony orzeł. Na stole tym leżały wszystkie klejnoty zmarłej, broszki, łańcuszki, kolczyki, pierścienie i branzolety. Leżały tu od bardzo długich lat, pokryte grubą warstwą pyłu, a zła opinja domu chroniła je lepiej, niźli kraty.

Letycja myślała z przerażeniem, że ma zamieszkać tu, gdzie może przychodzą nocami duchy, by się stroić.

Poweselała jednak zaraz posłyszawszy o planach przebudowy i odświeżenia i oczom jej zjawiły się miast strupieszałych komnat, ponętne saloniki, buduary, jasne, chłodne sale o wysokich oknach, schody zaścielone dywanami i estrady.

— Od ciebie zależy wyłącznie, byśmy posiedli piękny, wygodny dom, — powiedział Stefan. — Ja pełnię swój obowiązek, o tobie jednak nie można powiedzieć tegosamego.

Letycja spuściła oczy, znany był jej bowiem warunek starego Gunderama.

Co kilka miesięcy musiała przyznawać, że nadzieje jej nie iszczą się wcale. Eskurial był dalej pogrążony w głębokim śnie, a oblicze Stefana stawało się coraz posępniejsze. Posyłał ją do kościoła, by się modliła, sypał mielone orzechy na łóżko, dawał do picia proszek kościany z winem. W końcu wezwał kobietę, znającą potężne zaklęcia. Letycja musiała się rozebrać, obstawiono ją siedmiu, płonącemi

świecami i poddano jej ciało potędze czarodziejskich zaklęć. Chodziła po kościołach i modliła się, nie wierząc w modlitwę, nie czując nabożeństwa i nie wiedząc nic o Bogu. Podczas mruczenia włoskiej czarownicy ogarniało ją drżenie, ale gdy się ceremonja skończyła, podrwiwała sobie z jej bełkotania i sztuczek.

Wytworzyła sobie w duchu obraz dziecka, którego urodzić nie mogła. Nie miało płci wyraźnej, ale było doskonale piękne. Miało sarnie oczy, rysy aniołka rafaelowskiego, a duszę subtelną, jak oda Hólderlina. Przeznaczeniem jego było coś wielkiego, miało się wznieść wysoko. Myśl o wyśnionem dziecięciu przepełniła ją marzeniami, tak że dziwiła się, iż Stefan jest coraz to gniewniejszy i bardziej niespokojny. Nie czuła żadnej winy.

Donna Barbara, matka Stefana powiedziała pewnego dnia synowi:

— Dałam twemu ojcu ośmioro. Z tego troje zmarło, a czterej wyrośli na mężczyzn, nie liczę już nawet siostry twej Esmeraldy. Czemuż ona tedy ma być bezpłodna. Ukarz ją, obij ją, synu mój.

Stefan zgrzytnął zębami i chwycił harap.

19.

Był wieczór, a Krystjan kroczył w kierunku leśniczówki. Wydało mu się to zupełnie naturalne, a nie zdawał sobie sprawy, że działa pod przymusem.

Amadeusz Voss siedział przy lampie i czytał zniszczoną mocno książkę. W drugich drzwiach przemknął cień jego matki.

Po chwili spytał Amadeusz:

— Czy pójdziesz pan ze mną jutro do Nettersheim?

— Cóż tam po mnie? — odrzucił Krystjan pytanie. Voss zwrócił się ku niemu, a szkła okularów zabłysły w półmroku.

— Może ona zmarła już? — mruknął.

Jął bębnić palcami po kolanie. Krystjan milczał, on zaś zaczął opowiadać o dziewczynie, Walpurdze, która służyła u jego wuja kmiecia Borschego.

— Urodziła się w tej wsi. Była córką komornika. Mając lat piętnaście powędrowała do miasta. Słyszała dużo o pięknem życiu miejskiem i pewna była, że niesłychane osiągnie powodzenie. Sługiwała po różnych domach, aż w końcu syn pewnego kupca uwiódł ją i jak to bywa zawsze, została wygnaną. A więc ofiara, ponosi w takich razach jeszcze karę.

Urodziła dziecko, które zmarło zaraz, ona zaś staczała się coraz niżej. Handlarz żywym towarem umieścił ją w domu rozpusty, skąd po krótkim pobycie poszła na

ulicę. Zawód ten wykonywała w Bochum i Elberfeldzie, ale nie wiodło jej się i popadła w nędzę. Pewnego dnia, ogarnięta tęsknotą, zebrała wszystkie siły i wróciła do wsi uboga, chora, ale zdecydowana zarabiać na chleb powszedni bez względu na trud i wynagrodzenie.

Ale nikt jej przyjąć nie chciał. Rodzice zmarli, krewnych nie miała, toteż siała się ciężarem dla gminy i dawano jej to wyraźnie do poznania. Pewnej niedzieli zgromił ja proboszcz z kazalnicy. Nie wymienił wprawdzie nazwiska, ale piorunował na życie rozwiązłe, na bagno grzechu, oraz przedstawiał, jak to gniew Pański wyraźnie przejawia w oczach wszystkich członków parafji. Napiętnowana i rzucona na łup wzgardy publicznej, postanowiła położyć kres życiu swemu.

Kmieć Borsche, wracając pewnego wieczoru z gospody, ujarzł leżącą w strasznych drgawkach na gościńcu kobietę. Była to Walpurga, wszetecznica miejska, jak ją zwano we wsi. Wokół nie dojrzał nigdzie człowieka, wziął ją tedy na szerokie bary i zaniósł do swego osiedla. Wyznała zaraz, że naskrobawszy fosforu z zapałek połknęła to. Kmieć dał jej mleka, dziewczyna przyszła do siebie i nie wypędzono jej już.

Czasem była w stanie zawlec się w pole i pracować, czasem znowu legała gdzieś w kątku bezsilna zupełnie. Wszyscy parobcy uważali ciało jej za rzecz bezpańską, żaden opór nie zdał się na nic. Zmiana nastąpiła dopiero po interwencji gospodarza domu. Miała zaledwo dwadzieścia trzy lat, a mimo choroby, oraz przebytej nędzy, wyglądała świetnie. Policzki jej pokrywały zawsze rumieńce, a oczy lśniły rzeźwo. Toteż, ile razy nie poszła do roboty, napastowały ją inne dziewki czeladne, zwąc oszustką.

Dwa tygodnie temu odbyłem wycieczkę do Nettersheimu i zaszedłem do Borschów. Przyjęli mnie życzliwie, jako przyszłego kapłana. Rozmowa skierowała się na Walpurgę, gospodarz opowiedział mi jej dzieje i poprosił, bym naocznie zbadał czy jej choroba nie jest prostem udawaniem. Spytałem, czemu nie wezwą lekarza, ale powiedziano mi, że lekarz był i nic nie znalazł. Poszedłem do niej. Leżała w stajni, deskami tylko oddzielona od bydła, na snopie słomy, chroniącym od wilgotnej ziemi, nakryła starą derą końską. Nie złudziły mnie jej rumieńce, ni pozory zdrowia i powiedziałem Borschemu: — Ona już dogasa! — Gospodarz i żona jego dali wiarę słowom moim, gdym jednak ich poprosił, by chorą umieścili w miejscu odpowiedniejszem, wzruszyli ramionami. Nigdzie cieplej, niż w stajni być nie może, któżby zresztą ściągał na siebie kłopoty z powodu takiej, powszechnie unikanej nędznej istoty.

Poszedłem tam dnia trzeciego, polem zaś chodziłem stale. Nie mogłem poprostu myśli od niej oderwać. W ciągu całego życia nikt mi się tak głęboko nie wdarł w serce. Najzłośliwsi widzieli teraz, że już wsiać nie może. Siadywałem na drewnianej ławie, w dusznem zagrodzeniu u jej barłoga, ona zaś wilała mnie coraz to radośniej. Zerwane przezemnie po drodze kwiaty polne przyciskała do piersi, trzymając je w złożonych modlitewnie rękach. Powiedziano jej kim jestem i zaczęła mi zadawać mnóstwo pylań, na lemat życia pośmiertnego i zbawienia.

Chciała wiedzieć, czy Chrystus i za nią także poniósł mękę krzyżową. Bała się czyśćca, mówiąc, że jeśli tam tak źle, jak pośród ludzi, to dusza jej drży z trwogi. Nie było w tem urągowiska, ni skargi, chciała tylko wiedzieć.

Cóż jej mogłem odrzec. Zapewniłem, że Chrystus i ją także odkupił męką krzyżową. Na inne pytania nie dałem odpowiedzi. Milczymy i stajemy dzikimi, gdy żywe serce łaknie prawdy, i zawarty w niem zmrożony Chrystus chciałby odżyć i ujrzeć słońce nowego dnia. Gdzież jest prawdziwe królestwo szatana tu, czy... lam, gdzieś na jakiejś bardziej jeszcze przeklętej gwieździe. Dusze jęczą w męce, a Bóg nie unicestwia zła. Napisano, że Pan rzekł szatanowi: — Skąd idziesz? — A szatan odrzekł: — Chodzę po ziemi i węszę!

Poprosiła, bym wysłuchał jej spowiedzi i dał rozgrzeszenie. Nic atoli nie wydało mi się w niej grzesznem. Ujrzałem jeno pustkę i opuszczenie, gołe ściany izby, ulice oświetlone migotliwemi latarniami i ludzi o spojrzeniu bezlitosnem. To wszystko zobaczyłem wyraźnie i uznałem ją za wolną od wszelkiej winy, obiecując niebo. Uśmiechnęła się, a gdym jej na żądanie podał rękę, ucałowała ją, zanim mogłem cofnąć. To było wczoraj.

Milczał przez chwilę zadumany, potem coś powtórzył:

— To było wczoraj, dzisiaj zaś nie poszedłem tani ze strachu przed jej śmiercią. Może już nie żyje.

— Jeśli pan chce iść zaraz, golów jestem! — rzekł Krystjan nieśmiało. — Za godzinę będziemy na miejscu. Pójdę z panem. — A więc chodźmy! — odparł Amadeusz, odetchnął

głęboko i wstał.

20.

W godzinę polem stanęli w osiedlu kmiecia. Drzwi stajni otwarto na ścieżaj. Otaczali je parobcy i dziewki. Siary parobek trzymał wzniesioną wielką latarnię, a wszyscy zaglądali do zagrodzenia. W tem chwiejnem i skąpem świetle miały te twarze wyraz zdziwienia i skupienia modlitewnego. Wewnątrz na mierzwie leżały

zwłoki Walpurgi. Policzki jej były różane, nic nie przywodziło na myśl śmierci, a tylko sen spokojny.

Na lawie stała dopalająca się świeca.

Amadeusz utorował sobie drogę przez ciżbę i klęknął u stóp zmarłej. Stary parobek trzymający latarnię, szepnął coś i zaraz pouklękali wszyscy, składając do modlitwy ręce.

Jedna z krów zaryczała, polem rozebrzmiały dzwonki zaniepokojonej trzody. Krystjan widział, jak przez mgłę ciemń stajni, twarz zmarłej, jakby wymalowaną, oblane żółtem światłem głowy klęczących o płaskich czołach i zaciśniętych wargach.

Zatrzymał się w ciemnem podwórzu. W chwili, gdy Amadeusz zbliżył się doń, nadszedł cieśla wiejski, by wziąć miarę na trumnę. Ruszyli w milczeniu z powrotem.

Krystjan przystanął nagle u drogowskazu, objął ramionami słup i zadarłszy głowę jął z napięciem obserwować płynące chmury nocne. Usłyszał słowa Amadeusza:

— Czyżby to było możliwe? Czyż podobna?

Zwrócił ku niemu twarz.

— Krystjanie Wahnschaffe! — powiedział Amadeusz bezdźwięcznie, głucho. — Towarzystwo pańskie dziwny wpływ na mnie wywiera! — potem mruknął znowu do siebie: — Czyżby to było możliwe? Czyż rzecz ta, niesłychana ziścić się może?

Krystjan nie rzekł słowa i poszli dalej.

Koniec wersji demonstracyjnej.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

